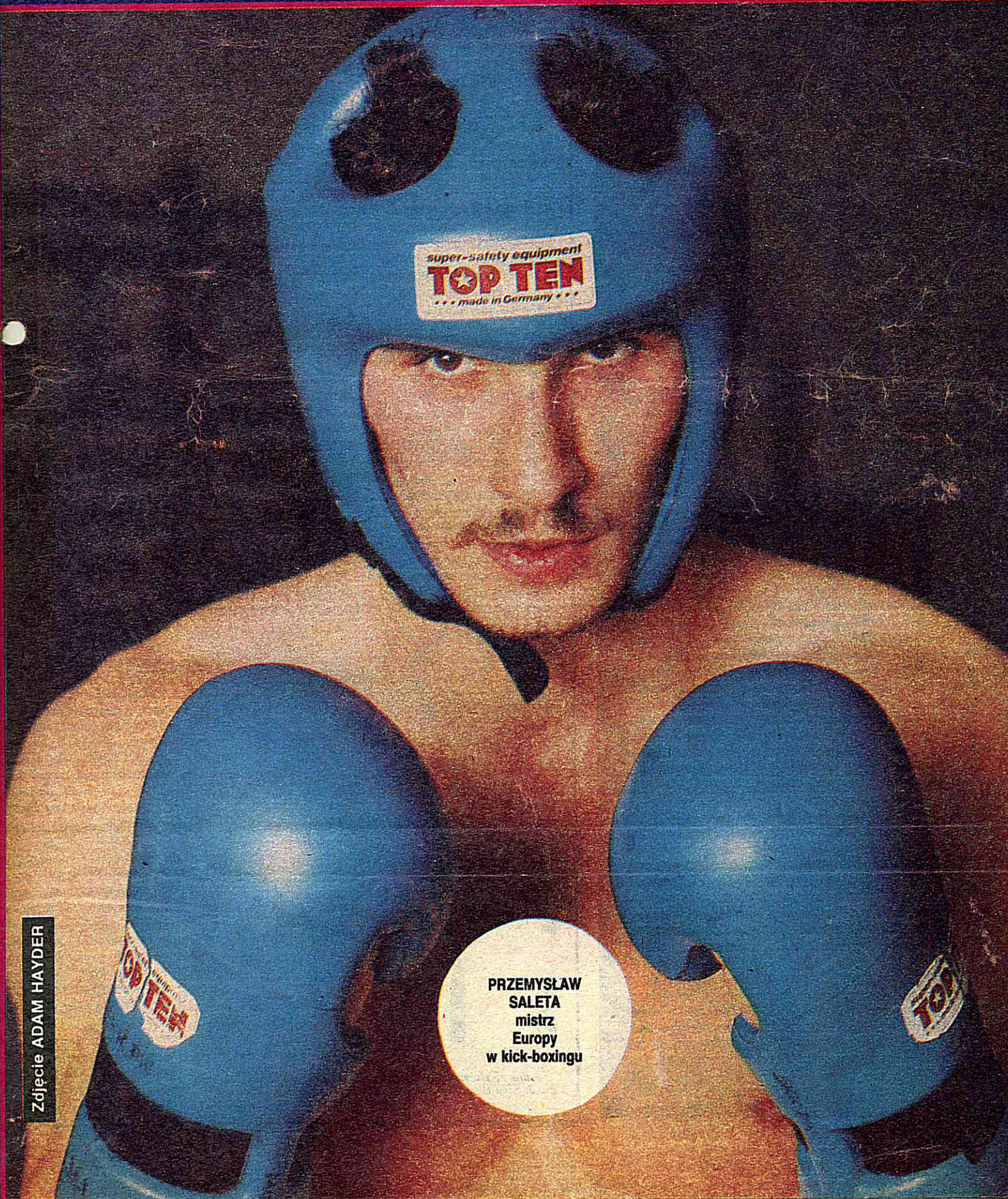


sportowiec

budo

1/10

● MARZEC 1989 ● CENA 250 ZŁ ●



Zdjęcie ADAM HAYDER

PRZEMYSŁAW
SALETA
mistrz
Europy
w kick-boxingu

BLIŻEJ do setki

Pewna pani zasięgała rady co do wyboru męża dla przekwitającej córki; rozczarowany młodzieniec żalił się na swoje niepowodzenia miłosne; jadowna teściowa oczerniała zięcia, niecierpliwa żona zapytywała, czy ma się już rozwodzić, czy jeszcze czekać... Jak podawał Melchior Wańkowicz, Eliza Orzeszkowa otrzymała niezliczoną moc listów, często o treści nie mającej nic wspólnego z jej twórczością. „Budo” nie osiągnęło sławy pani Elizy, ale również otrzymuje stopy listów. Jesteśmy w szczęśliwszej sytuacji, bo nikt nas nie nęka pytaniami czy Julkę można wydać za mąż dzisiaj, czy dopiero jutro. Nasi czytelnicy są zdyscyplinowani, konkretni i piszą w swoich listach o tym, o czym traktuje ta gazeta.

Ilość korespondencji bardzo nam schlebia, gdyż świadczy, że trafiamy w sedno czytelniczych zainteresowań, że poruszane na łamach pisma problemy są świeże i ważne. Duża część korespondencji zaczyna się od słów „proszę redakcję”. Prosimy nas o przysłanie niektórych numerów „Budo”, o adresy mistrzów, o rady jak ćwiczyć. Wielu prób nie możemy niestety spełnić, co nie oznacza, że korespondencja ta trafia do kosza. Wysłuchujemy z uwagą wszystkich słów. Dostrzegamy, że nadal bardzo żywa jest legenda Bruce’a Lee. Domagacie się podania nowych, nieznanych dotąd faktów z jego biografii, a nade wszystko zdjąć z idolem. Lee ogromnie się przysłużył rozpowszechnianiu dalekowschodnich sztuk walki, ale nie należy łańszczywie oceniać, że wchodnie systemy walki wręcz to tylko Lee.

Ani się obejrzelśmy, a już wydajemy dziesiąty numer „Budo”. Sadzę, że wynagrodzimy w nim cierpliwość wszystkich tych, którzy z utęsknieniem oczekiwali na wspomnienia o swoim bohaterze. „Odkurzamy” więc Bruce’a...

Dziesiątka, okrągły numer wydania, czyli okazja do małego remanentu. Nie wszystko co do tej pory udało nam się zrobić zadowala zarówno nas, jak i czytelników. Otrzymywalśmy krytyczne głosy, zbieraliśmy cięgi. Jest więc okazja, żeby uderzyć się w piersi i przyrzekać poprawę. Często otrzymujemy jednak ciosy niezastuszenia. Zarzucają nam, że o tej lub tamtej sztuce walki piszemy więcej, o innej mniej. Lecz jeśli policzyć te głosy, to nie wiadomo które sporty kochamy rzekomo mocniej, a które nie darzymy uczuciem. Staramy się zrozumieć reakcje naszych odbiorców, wiemy że każdy poszukuje do poczytania spraw najbardziej go interesujących, ale pismo ma zawsze tę samą, za małą ilość stron.

Okazujecie zniecierpliwienie, że pismo wychodzi tylko raz na kwartał. Kiedyś z niepokojem pytano, czy „Budo” będzie się nadal ukazywać. To pytanie świadczy jak środowisko ludzi interesujących się sportami i sztukami walk odczuwa mocno potrzebę posiadania własnego pisma.

Właśnie! „Budo” jest przecież waszym pismem. Redakcja może lekceważyć głosy swoich czytelników, może przemadrale rozstrzygać co dobre, o czym powinno się czytać, a czego za nic nie wolno drukować. Redakcja może, ale żadna nie czerpie satysfakcji, gdy przekazywane przez nią treści nikogo nie obchodzą, a gazeta służy jako papier do pakowania śledzi na straganie.

Jeden z czytelników napisał, że „Budo” kosztuje w kiosku tyle co paczka papierosów. Podał przykład, aby pochwalić nas, że relatywnie niewielka cena, a jak dużo wartości. Dzisiejsze ceny to zjawisko podobne do pogody. Nie wiadomo czy jutro będzie słońce, czy deszcz... „Dziesiątkę” podajemy już droższą, bo znów: papier, farby, drukarnia etc., czyli wzrosły koszty. Mimo drożyzny nie chcemy stracić sojuszu z czytelnikami. Postaramy się ciekawe treści przekazywać w atrakcyjnej formie, będziemy chcieli wykazać większą wrażliwość na głos czytelnicy. Poszerzamy kącik szkoleniowy, w którym prezentujemy także kata, otwieramy nowe rubryki będziemy pokazywać kluby, dojo i mistrzów. Otwieramy również „czarną stronę”, którą życzylibyśmy sobie, z powodu braku „tworzywa”, jak najszybciej zamknąć. Oto niektóre nasze zamierzenia. Liczymy na dalszy, żywy dialog z czytelnikami, na nowe stopy listów.

Po dziesiątce coraz bliżej do... setki.

LECH UFEL

● **Waldemar Legień** najlepszym polskim sportowcem w 1988 roku! W tradycyjnym plebiscycie czytelnicy „Przeglądu Sportowego” obrali mistrza olimpijskiego z Seulu sportowcem roku. Legień wyprzedził w plebiscycie drugiego mistrza olimpijskiego, zapasnika, Andrzeja Wrońskiego. Po raz pierwszy w historii polskiego sportu tak dużego szacunku dostąpił judoka. Popularny „Mistrz” – trener polskiej reprezentacji judo – **Ryszard Zienkiewicz** uhonorowany został tytułem „Trenera Roku”.

„Budo” serdecznie gratuluje.

● Dobry rok polskiego judo! Na rozgrywanych pod koniec listopada ubiegłego roku mistrzostwach Europy juniorów i junierek nasze reprezentantki dokonały wielkiego wyczynu. Zdobyły w Wiedniu złote medale. Bohaterkami imprezy były: **Bożena Strzałkowska** w wadze 48 kg, **Joanna Urbańska** w 52 kg i **Monika Smoleń** w 56 kg. Polki wygrały też we wszystkich możliwych klasyfikacjach, co zdarzyło się po raz pierwszy w historii judo. Serdeczne gratulacje i prosimy o powtórki w imprezach seniorskich. **Krzyszyna Grochowska** (72 kg) i **Edyta Kołomańska** (66 kg) zajęły też niezłe piąte miejsca. Gorzej powiodło się natomiast juniorom, tylko **Mariusz Łatała** zdobył piątą lokatę. O następców Legienia trudno.

● Skromna 5-osobowa grupa polskich karateków wzięła udział w dniach 3-5 lutego w mistrzostwach Europy kobiet, juniorów i kadetów. W imprezie rozgrywanej według regulaminu WUKO nasze barwy reprezentowali tylko juniorzy. Umiejętności, które pokazali w słynnej paryskiej hali imienia barona de Coubertina nie okazały się wielkie. Najlepiej wypadł **Andrzej Huczak** zajmując siódme miejsce. Oto nowi mistrzowie Europy: ko-



Charakterystyczny gest. Waldemar Legień najlepszym sportowcem Polski. Zdjęcie LESZEK FIDUSIEWICZ

biety – 53 kg: Senff (Holandia); 60 kg: Samuel (Anglia); ponad 60 kg: Bellhiti (Francja). Kumite drużynowo: Francja. Kadeci – 55 kg: Jaloen (Anglia); 60 kg: Grombie (Szkocja); 65 kg: Perez (Hiszpania); 70 kg: Martin (Anglia); 75 kg: Herrero (Hiszpania); ponad 75 kg: Garcia (Hiszpania). Juniorzy: 60 kg: Jancek (Turcja), 17-25 Sawa; 65 kg: Ramiro (Hiszpania); 70 kg: Amicone (Włochy); 7. Huczak, 9-16. Pietkiewicz; 75 kg: Alderson (Anglia); 80 kg: Pinna (Francja); 9. Szczasiuk, 16-29. Śpiewak; ponad 80 kg: Hernandez (Hiszpania). Kumite drużynowo: Francja.

● W mistrzowskie imprezy karate urodzajny był koniec ubiegłego roku. O wytłanianiu naj-

lepszych w Polsce w stylu s-tokan czytaj na stronie 17. Ti-ciego grudnia świetnie zorgi-zowano w Gdyni pierwsze A-demickie Mistrzostwa F-Wyniki: kata kobiet: 1. Prasa (AKK Szczecin). Mężczyźni: kata indywidualnie: 1. Kleb (AKK Szczecin), kata drużynowo: 1. AKK AZS Szczecin, kumite Białecki (SGGW Warszawa) drużynowo: 1. AKK AZS Szc-cin.

● Elbląg gościł kick-bok-rów, którzy otrzymali zgc-KMiKF na rozegranie pi-wszcych, oficjalnych mistrzo-Polski w wersji full-contact. O i-prezie piszemy na str. 9.

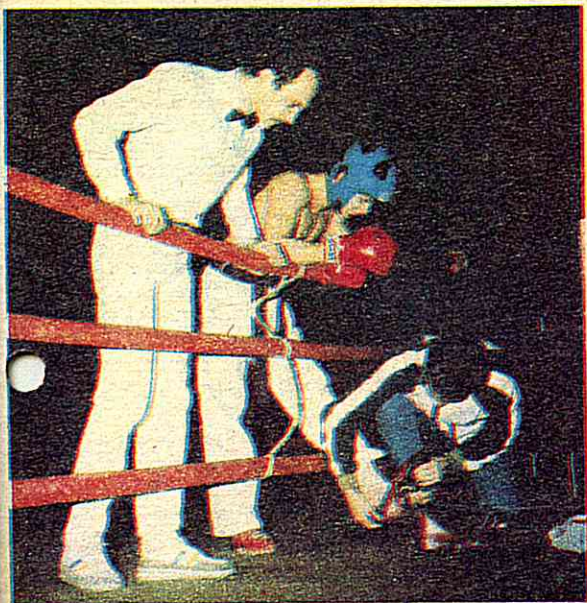
● Namiaszka olimpia-Podczas otwarcia olimpiady-Seulu widzieliśmy w telewizyj-transmisji pokazy taekwondo-wykonaniu ogromnej grupy I-reaczyków. Po raz pierwszy-prezentacja Korei Południowe-taekwondo, ich narodow-sporcie, przybyła też do Polsk-i 10 grudnia popisy Azjatów i-dziwiali widzowie w Lublinie i-strowcu Świętokrzyskim. Gru-koreańskich sportowców dy-gował sam mistrz olimpijsk-ceremonii Kuy Hyung Lee. stronach 6-7 fotoreportaż ob-zujący kunszt mistrzów.

● Taekwondo WTF pokazi-się olimpijskiej widowni. Po-limpiadzie w Seulu z ogromny-zainteresowaniem oczekiw-śmy na przegląd polskich t-kwondzistów. 26 i 27 listopa-ubiegłego roku rozegrano-Gdańsku mistrzostwa Pols-Krajowy przegląd wypadł jedn-mizernie. Komentarz na stor-7.

● Całkiem niespodziewar-polska ekipa reprezentująca ta-kwondo WTF wzięła udział-dniach 3-5 lutego w międzyn-rodowym turnieju w Iranie. Z wi-



Jedna ze złotych medalistek mistrzostw Europy w judo. Na zdjęciu Joanna Urbańska ze swoim trenerem Andrzejem Błewąką. Zdjęcie TOMASZ RADZYŃKIEWICZ



Oceniono, że pierwsze mistrzostwa kick-bokserów w full-kontakcie nie były groźne. Zdjęcie SYLWESTER MORAWSKI

domowych względów, braku pieniędzy, nasi reprezentanci, nie przewidywali tego startu. Dwa tygodnie przed rozpoczęciem imprezy gospodarze przysłali zaproszenie, informując, że pokryją wszelkie koszty udziału. To jest gest! W wyniku szybko zwołanego „pospolitego ruszenia” do Puchar Abbas nad Zatoką Perwyjchali Jacek Sadowski, Mariusz Zdonek, Wojciech Kowalski, Andrzej Baclawski i Andrzej Buratowski. Kierujący wyprawą Andrzej Puchniarski cieszył się, że Polacy podtrzymują kontakty międzynarodowe. Nikt z jego drużyny nie zdobył jednak w turnieju medalu.

● Dużą renomę zyskał końniński ogólnopolski turniej karate kyokushin. Pod koniec listo-

pada odbyło się szóste wydanie tej imprezy. Zwycięzcy: kat. lekka – **Koszela** (Start Konin), kat. średnia: **Dadzibug** (Victoria Sosnowiec), kat. ciężka: **Rutkowski** (SCK Białystok).

● Polska Federacja Dalekowschodnich Sztuk Walki decyzją KMiKF z 12 grudnia 1988 roku już działa! 29 stycznia br. odbył się pierwszy walny zjazd federacji, podczas którego obrano 11-osobowy zarząd. Federacji prezesuje **Ryszard Murat**, sekretarzem generalnym został **Jan Braun**. Organizacja skupia 10 stylów sztuk walki, jej siedziba znajduje się w Warszawie przy ul. Jakubowskiej 18. „Budo” życzy „noworodkowi” jak najmniej kłopotów i samych sukcesów.



Finałowa walka mistrzostw Polski w taekwondo WTF w wadze 83 kg. Walczą Wojciech Burakowski (z lewej) i Wojciech Szczęrbliński. Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

ERUPCJA WULKANU



Pamiętne mistrzostwa Europy w Katowicach. Na zdjęciu po prawej Włodzimierz Rój. Zdjęcie SYLWESTER MORAWSKI

LECH
UFEL

Coś podobnego zdarzyło się mistrzowi dwa razy w życiu. Doznawał dziwnego uczucia, spokojnie mógł jakby obserwować swoje zachowanie. Ogarniała go pewność niczym fachowca świetnie znającego zawód. Czuł się jak Cezar, który słowami: „veni, vidi, vici” zawiadamiał senat o bitwie pod Zelą.

Przyjechał, zobaczył i został mistrzem Europy!

Książka Oyamy

W typowym pokoju w bloku główną uwagę zwraca dwustulitrowe akwarium – hobby mistrza. Skalary pływają dumnie, gupiki zwawo. Obserwacja poruszających się w wodzie rybek wpływa podobno na ludzi relaksująco. **Włodzimierz Rój** postrach wielu karateków sprawia właśnie wrażenie człowieka bardzo spokojnego, opanowanego, chociaż wrócił akurat ze sklepowych kolejek. Nie chwali się nawet sportowymi laurami, których w pomieszczeniu niemało. Wśród nich piękna sta-

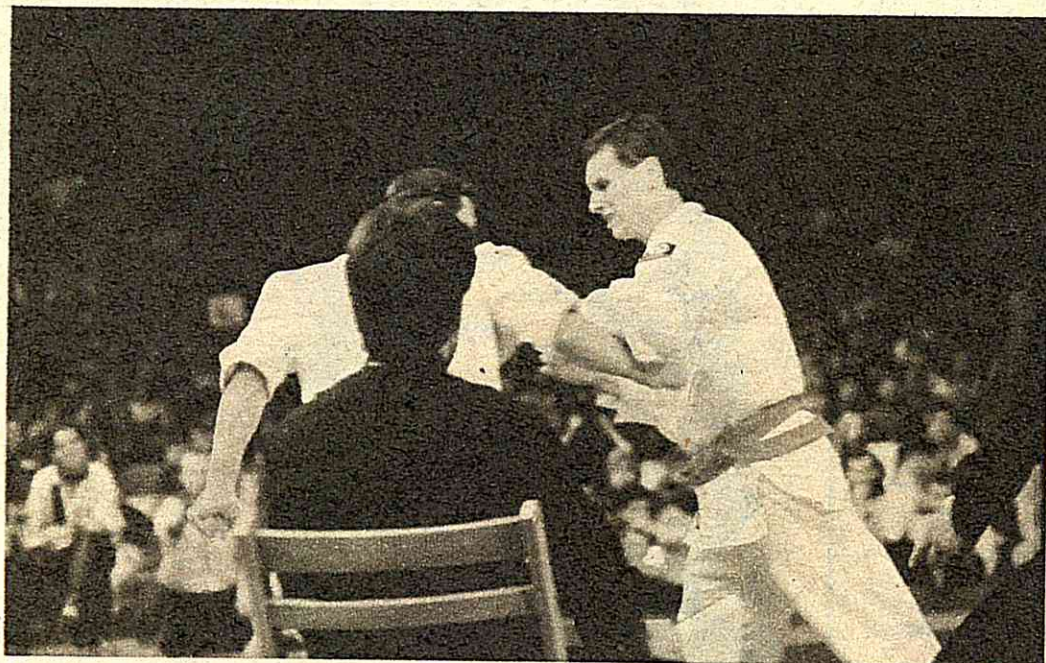
tuetka, nagroda za mistrzostwo Europy, książka z osobistą dedykacją twórcy kyokushinu – Matsutatsu Oyamy, wiele pucharów.

Mała Ada, córka, łączy się po pokoju, specjalista kyokushinu tłumaczy, dlaczego zniknął ostatnio z areny. Czy bał się, czy zestarzał? „Nie – śmieje się Rój – na raz moja kariera weszła w fazę zawieszenia. A jeszcze wrócę, tak jak dawniej...”

Dawniej zamierzał zostać mistrzem w sił kówce, próbował pływackich wyczynów przez dwa lata kopał piłkę jako trampkarz gorzowskiego Stilonu. Ale żadna z tych dyscyplin nie zafascynowała go całkowicie. Marzył o samochodowych rajdach, śnił o nocach jak jego auto z pełną mechaniczną mocą pędzi w bezkresną dal. Lecz marzer nie mogło się ziścić na jawie, więc w poszukiwaniu ryzykancich przygód, niejako w następstwie zainteresował się tajemniczym karate. Sport nieznany, ciekawy, może liczyć tylko na siebie – to się podobало. Czternasto lat towił wiadomości o karate. Wkrótce zaczął się okres niezwykły w jego życiu. Wsława o świecie. Już o piętej trzydziści ćwic-

ERUPCJA...

Zdjęcie SYLWESTER MORAWSKI



chucherko poradziło sobie ze stukilogramowymi olbrzymami w kategorii open. Wtedy po raz pierwszy doznał w turnieju dziwnego uczucia pewności i spokoju. Podobny stan powtórzył się siedem lat później...

Czarny pasek

Głód posiadania tytułu najlepszego w kraju został zaspokojony, ale nie oznaczał speł-

Żona studiowała, ja studiowałem, san chowywaliśmy córeczkę".

Harówka z poprzednich lat nadal je procentowała. Rój, bez specjalnego przygotowania, startując jakby z marszu, zdobył mistrzowskie tytuły. Turniejem w roku zamierzał zakończyć wyczynową karierę. Zaplanował, że ostatni występ będzie dny i pamiętny. Niestety pojechał na zawodach z kontuzją biodra. Wyprawa przyniosła c wite fiasko.

"Rój się skończył" – słyszałem zadowolony komentarz. Pozostał niedosyt, by przykro. Porażki zawsze mnie mocno pamiętały o nich przez wiele lat. Zawzięcie, że wykonam jeszcze rzut na taśmę. Wcale się nie skończyłem, wyglądam raczej jak wulkan, który drzemie, ale w chwili może nastąpić erupcja".

Decyzja

Nadal dokuczał mu brak mieszkania, w którym zagnieździł się z rodziną za kolejny raz. W kieszeni ubogo, więc szukał prac dorywczych. Ostatni rok na dach, praca dyplomowa, a tu nagle n wielkie plany sportowe.

"Jak podejmę decyzję, zmierzam do dzięki ogromnej wewnętrznej mobilizacji. Walczę ze swoimi ułomnościami, pokusami i problemami. Wiedziałem, że wyrzeczenia obejmują też rodzinę, ale mam wyrozumiałość. Znowu swoje życie stawiam nagle na tor wielkiego sportu. F. kowałem. W tak ważnym okresie mogę przecież wiele przegrać..."

Wyciągnął wszystkie zaskórniaki, spisał rodzinę i kilkakrotnie wyjeżdżał w góry, aby odzyskać dawną krzepę. Ćwiczył „prywatnych zgrupowaniach”, sam układał sobie plany treningowe. Czasem wpadł innych kolegów uprawiających kyokushin, żeby sparować. W walkach sparingów dostrzegał swoje błędy. Plan powrotu na soki podium opracowywał bardzo precyzyjnie, uwzględniając w nim nawet codzienne jadłospisy. Na okres dwóch lat znów skłonił się na sportową katorgę. Nagrodą miał najpierw udział w Pucharze Europy. I Rója nie wzięto pod uwagę przy ustalaniu reprezentacji.

"Przykra historia. Przejechałem blisko kilometrów, żeby dowiedzieć się, że już eliminacjach, po herbacie. Nie załamałem z tego powodu. Liczyłem na udział w mistrzostwach Europy i na poparcie Andrzeja Drewniaka, który opowie się za uczciwym i sprawiedliwym rozwiązaniem".

Włodek nie zawiódł się. Ojciec ducha polskiego kyokushinu po powrocie z Japonii umożliwił Rójowi przygotowania z kadrą ten sposób w katowickich mistrzostwach Europy w 1987 roku na najwyższym poziomie znalazł się również Polak: **Włodzisław Rój**.

"Najbardziej co zapamiętałem z tego nieju to spokój. Niesamowity spokój wewnętrzny..."

Jutro

Eksmistrza można nadal spotkać w gorskiej sali. Pełni rolę trenera, kierownika sprzątacza i wszystkie potrzebne funkcje.

"Ostatni rok nie był szczęśliwy pod względem zdrowotnym. Uczę walczyć innych młodzi chłopcy są niecierpliwi, szybko zniechęcają, myślą, że w ciągu kilku miesięcy można zdobyć umiejętności, na których opieranie potrzeba lat. Lubilem w walkach na całość. Dobra podbudowa pozwalała dyktowanie warunków. Katowickie mistrzostwa przebiegły rewelacyjnie, nie znalazłem ciele ani jednego siniaka. Wiele pomogła w tym... autosugestia. Mam pewien dar przytamywania siebie, wpływania na stan psychiczny. Nigdy nie miałem w życiu idola, kogo nie naśladowałem, zawsze szedłem swoją ścieżką. Nie wiem czy i mnie można naśladować..."

LECH UFE

Gorąca głowa

biegał. Na ósmą szedł na lekcję do Zespołu Szkół Mechanicznych, natychmiast po lekcjach znów wciągał dres. Wieczorem szukał jeszcze miejsca w sali, aby poskakać przy worku lub wycisnąć sztangę.

Niektórym wystarczyły treningi dwa razy w tygodniu, ale Rój był inny. Ćwiczył jak wariat po kilka godzin dziennie, podczas dwóch, trzech treningów w jednym dniu! Poznał wszystkie parki i pobliskie lasy w Gorzowie. Biegał, aby nabrać kondycji i żeby zostać sprawnym. Ćwiczył przeważnie samotnie, nie przepuszczając jednak okazji, kiedy mógł wreszcie zmierzyć się z partnerem i uczyć się techniki.

"Wielu ludzi pewnie dziś nie uwierzy – zauważa Włodek – że można było aż tak mocno ćwiczyć. Postępowałem jak fanatyk, który prawdziwie pokochał ten sport".

Karatego sprawił sobie sam. Kupił w sklepie materiał, ubiół jak potrafił, sztyt aż zepsuł maszynę. Wybiór nie należał do wyrobów najwyższej jakości, ale na treningu spisywał się dzielnie.

Ćwiczył ogromnie dużo i jakby bez opamiętania, bo młodzieńcza intuicja podpowiadała mu, że z wielkiej pracy muszą się zrodzić wielkie wyniki. Przecież krzepę, którą zdobył, nie mógł już nie zabierać.

Ale wielkie karate poznawał dopiero wtedy, gdy z Radomia przyjechał Ryszard Szczepański. „Patrzę na jego ćwiczenia zrozumiem o co chodzi w tym sporcie” – twierdzi Włodek. „Przez jakiś czas naśladowałem wszystkie jego ruchy, gesty. Później zacząłem się zastanawiać, które elementy są najbardziej przydatne ze względu na moją budowę ciała, z powodu mojego charakteru, sposobu walki, temperamentu, szybkości reakcji, każdy ruch można wykonać podobnie, a jednak inaczej. Decydują niuanse, że blok staje się twardy, uderzenie żelazne. Trenowałem mocno, żeby osiągnąć wszechstronność. Człowiek wszechstronny ma możliwość opanowania wielu technik, dzięki temu potrafi rozgrywać walki według najkorzystniejszego dla siebie wariantu. Byłem młodym chłopcem, ale bardzo już ciekaw wiedzy na temat teorii treningu. Sięgałem po literaturę, szukałem odpowiedzi, dlaczego coś tam trzeba ćwiczyć tyle, a tyle razy. Wyszła akurat książka Naglaka, którą przeczytałem chyba ze trzy razy od dechy do dechy. Z ilości treningów przechodziłem stopniowo do jakości..."

Jako młokos 16-letni po raz pierwszy wziął udział w mistrzostwach Polski. Wygrał trzy walki przed czasem, w kolejnej trafiła kosa na kamień. Żałował, że przegrał w sposób głupi, naiwny jak dziecko. Ale wtedy patrzył jeszcze na swoje zajęcie inaczej, niczym junak z brygady Służby Polsce. Sport nie był czynnikiem dominującym. Myślał prostolinijnie, że uprawia karate, aby doskonalić swoje ciało, żeby opanować niezwykle techniki. Po przegranej zrewidował poglądy, uznał, że kyokushin to przede wszystkim sport. I młody zapaleńiec znów popadł w skrajność. W kilku kolejnych imprezach mistrzowskich „kręcił się koło strefy medalowej”, ale wracał z niczym. Zamiast radości ze wspnianych walk i upragnionych zdobyczy, były porażki i gorycz. Kiedyś wrócił jako człowiek wręcz potępiony. Zawieszono go w prawach zawodnika z powodu niezwyklej brutalności. W karate kyokushinkai, w którym wiele można, jego sposób walki uznano za zbyt ostry, bezwzględny, nie mieszczący się w ramach sportu. Wyrzucano go poza nawias...

"Nie startowałem przez półtora roku i kara była słuszną. Ten przykry epizod z jednej walki mocno mnie zastanowił. Zachowywałem się w pewnej chwili jak dwaj rewolwerowcy, z których jeden zostanie trafiony. Może daliśmy się sprowokować, może sędzia nie zareagował odpowiednio. W ciągu ułamka sekundy zagołowałem się, sam wymierzyłem „sprawiedliwość”. Po latach się usprawiedliwiam, że młodość, gorąca krew. Na szczęście obaj doszliśmy do wspólnego wniosku, że było to niepotrzebne. Do dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi. Wtedy też przemysłałem i znów zmieniłem stosunek do walk. Przedtem pojedynki traktowałem zbyt impulsywnie, jak samuraj, który musi za wszelką cenę wygrać i nie zastanawiać się o następnych potyczkach. Ta taktyka mnie gubiła. Chciałem każdą walkę wygrywać w piękny, efektowny sposób – przed czasem. I zwyciężałem, ale do czasu. Nagle czegoś mi brakowało. Po przerwie spowodowanej zawieszeniem pokazałem się jako inny Rój".

Jego pojawienie się przypominało powrót skruszonego i wspaniałego syna marnotrawnego. W 1980 roku zdobył wreszcie upragniony tytuł mistrza Polski. Liczył niespełna 20 lat, ważył zaledwie 70 kilogramów i to młode

nienia wszystkich karateckich marzeń. Włodek nade wszystko chciał być właścicielem czarnego pasa, pragnął osiągnąć prestiżowy stopień mistrzowski. Myślał o tym zaszczycie, interesował się kryteriami potrzebnymi do spełnienia. Powiedziano mu, że sukces w mistrzostwach kraju nie jest wystarczającym osiągnięciem, trzeba reprezentować sobą coś więcej. Mile widziane byłoby na przykład podjęcie studiów, zdobycie wyższego wykształcenia...

"Jakoś tak w moim życiu się układało, że jeśli czegoś pragnąłem i mocno się do jego zdobycia przyłożyłem, cel osiągnąłem" – przyznaje Rój.

Przez pewien czas mieszkał i ćwiczył w Zielonej Górze, gdzie znalazł wspaniałe warunki do uprawiania karate. Tam skończył szkołę średnią, po maturze wrócił do Gorzowa. Został studentem miejscowej AWF, ale czarnego pasa nie uzyskał do dziś...

"Nie miałem nawet możliwości zdawania egzaminu. Coś w tym było. Może uważano mnie za człowieka w gorącej wodzie kąpanego. Mogłem czekać cierpliwie na swoją szansę, ale ten cel przestał mnie już pociągać. Podjąłem inną decyzję. Ćwiczyłem, ale z założeniem, że w karierze sportowej osiągnąłem co chciałem".

W następnym roku karateka o nazwisku Rój był nadal widoczny na mistrzowskiej imprezie. Zdobył nawet tytuł wicemistrza, został uznany za najlepszego technika turnieju. Ale ta rywalizacja przestała go bawić. Sport jakby go znudził. Na pewien okres rzucił nawet kimono. Chciał być kimś znanym na arenie międzynarodowej, ale w Polsce wprowadzono stan wojenny. Za granicę trudno byłoby wyjechać nawet na sportowe zawody. Wtedy trochę się podłamał, wiele zamierzeń straciło nagle sens. Na szczęście nieco wcześniej postanowił się ożenić.

"Karate to wielkie hobby, więc go nie rzuciłem kompletnie. Siedziało we mnie. Dzień bez ćwiczeń, bez kimona na grzbiecie wydawał się dniem straconym. Trenowałem, lecz nie był to już ten intensywny trening sportowy. Jak wielu młodych ludzi trapiło mnie nagle wiele problemów życiowych. Brak mieszkania, brak pieniędzy na utrzymanie rodziny, w której pojawiło się wkrótce dziecko.

Rozmowa z BYUNG WOON KIMEM, zastępcą sekretarza generalnego Światowej Federacji Taekwondo (WTF)

– Przyjechał pan do Polski z grupą pokazową taekwondo z Korei Południowej. Na co WTF liczy?

– W podróży po Europie zaplanowaliśmy pokazy we Francji, Belgii, Jugosławii, Austrii, Wielkiej Brytanii i Polsce. Po raz pierwszy reprezentanci Korei Południowej w taekwondo WTF goszczą w Polsce. Zamierzaliśmy również spotkać się z ludźmi interesującymi się taekwondo WTF na Węgrzech, ale ponieważ z Koreą Południową nie wszystkie kraje utrzymują kontakty dyplomatyczne, więc i nasze możliwości są także ograniczone. Do Polski udało nam się jakoś wjechać. A dlaczego wybraliśmy na swojej trasie Polskę? To proste. W waszym kraju taekwondo jest znanym sportem, cieszy się popularnością. Polska jest jednym z członków WTF, wasi reprezentanci brali udział w mistrzostwach świata, byli w turnieju olimpijskim.

– Niedawno obradował Międzynarodowy Komitet Olimpijski. Podano nowe dyscypliny, które wejdą do programu olimpiady w Barcelonie. Taekwondo WTF było dyscypliną pokazową w Seulu, uważano, że już wkrótce sport ten zostanie uznany za olimpijski, ale nie ma go w programie przyszłych Igrzysk w Barcelonie. Co przeszkodziło?

– O decyzji MKOI dowiedziałem się akurat będąc w Polsce. Nie znam szczegółów decyzji. Mieliśmy zapewnienia członków MKOI, że taekwondo będzie na olimpiadzie w Hiszpanii. Mam ciągle nadzieję, że w trakcie następnej sesji MKOI sprawa zostanie rozwiązana pozytywnie.

My jako federacja spełniliśmy wszystkie niezbędne warunki, żeby nasz sport uznać za olimpijski. WTF zrzesza obecnie 112 krajowych federacji, nasz sport uprawia obecnie ok. 20 milionów ludzi nie tylko w Azji, lecz również w Europie, w obu Amerykach i Afryce. Taekwondo znajduje się w programie Igrzysk Panamerykańskich, Igrzysk Afrykańskich. Organizuje się mistrzostwa kontynentalne. Taekwondo rozwija się i prędzej czy później będzie na olimpiadzie.

– Polacy uprawiają taekwondo, ale w wielu krajach zaliczanych do sportowych potęg, które zbierają duże ilości olimpijskich medali, jest ta dyscyplina nieznana. Czy popularność taekwondo nie jest trochę za mała, aby wejść do olimpijskiego programu?

– Przedstawiciele między innymi NRD, Czechosłowacji, GhRL z dużym zainteresowaniem zbierali podczas olimpiady w Seulu informacje o taekwondo WTF. Prosił o materiały szkoleniowe. Zainteresowanych jest tym sportem coraz więcej krajów, stąd mój optymizm, że wkrótce zginą wszelkie bariery na olimpijskiej drodze. Do zdobycia będzie aż osiem złotych medali, więc kto wcześniej o nich pomyśli, będzie miał większe szanse ich uzyskania. I właśnie wy, Polacy znajdujecie się w szczęśliwszej sytuacji, macie dobrą pozycję.

– Czy tylko dzięki tym materiałom szkoleniowym świat poznaje taekwondo?

– Oczywiście, że nie. Wszystkich zainteresowanych staramy się zapoznać z wszelkimi tajnikami taekwondo. Z Korei Południowej wyjechało w świat ponad dwa tysiące instruktorów, którzy uczą taekwondo. Ale funkcjonują oni na zasadzie osób prywatnych, nie wywieramy na nich przymusu.



Byung Woon Kim w Lublinie. Po prawej stronie szef taekwondo WTF w Polsce, Andrzej Puchniarski. Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

OTWARTE DRZWI

– W Polsce zwolennicy taekwondo WTF uczą się tego sportu trochę po omacku, korzystają z taśm wideo z nagraniami ciekawych walk, korzystają z własnych obserwacji, jeśli sporadycznie uda się im uczestniczyć w światowej rangi imprezie. Czy nie uważa pan, że trochę to za mało, aby mówić o szybkim rozwoju?

– Ponieważ między Polską a Koreą Południową nie ma oficjalnych stosunków dyplomatycznych stąd pewien kłopot. My jesteśmy jednak gotowi pomóc. Gdyby wasze ministerstwo sportu zwróciło się o pomoc, przysłalibyśmy instruktorów. Według mojej opinii korzyść byłaby obustronna. Gdyby w Polsce poziom taekwondo był wyższy, oczywiście niepotrzebni byłiby tutaj instruktorzy. Ale teraz widzę, że przydałoby się dobrzy nauczyciele tego sportu. Podobna sytuacja była niedawno w USA i niektórych krajach europejskich. Zgodnie z życzeniem posłaliśmy instruktorów i kiedy trenownicy osiągnęli wysoki poziom ta forma pomocy jest im już niepotrzebna.

– Powiedział pan, że Polska znajduje się w szczęśliwszej sytuacji, ma

dobrą pozycję. Ale w jakim sensie? Przecież oficjalnie nie należymy nawet do WTF?

– W Polsce taekwondo nie jest nowością. Posiada już pewną bazę. My traktujemy Polskę jako członka WTF, dla tego między innymi był możliwy nasz przyjazd do Lublina.

– W turnieju pokazowym podczas olimpiady w Seulu dominowali reprezentanci Korei Południowej. Czy koreańska hegemonia nie paraliżuje rozwoju taekwondo na świecie? Czy pańscy rodacy nie obawiają się, że odkrywając sekrety szkoleniowe, mogą ustępować miejsca na podium?

– Koreańczycy zdobyli w Seulu 7 złotych medali, ale jeden wywalczył reprezentant USA. W kategorii kobiet więcej złotych wywalczyły reprezentantki innych państw niż Koreańki. Sądzę, że w najbliższym czasie moi rodacy coraz bardziej będą ustępować pola, co uważam za naturalne. Weźmy przykład judo. Japończycy też dominowali, a teraz...

– Wróćmy do problemów olimpijskich. Istnieją dwie federacje taekwon-

do ITF i WTF, sądzi się, że to najważniejszy powód przeszkadzający olimpijskiej promocji.

– Dwie federacje, ale liczę, że w przyszłości się zjednoczymy, chociaż nasze taekwondo i tamto trochę się różnią. ITF zmierza bardziej chyba w kierunku sztuki walki, my myślimy głównie o sportowym wydaniu. W tej chwili nie widzę większych problemów na linii ITF-WTF, kto chce może ćwiczyć taekwondo według zasad ITF, kto chce niech uprawia według naszych reguł. Przyznam się panu, że ja też próbowałem kiedyś sił jako zawodnik w walkach ITF. Organizacja generała Choi Hong Hi przeniosła się jednak do Kanady, później do Austrii, dlatego nie mogliśmy się porozumieć. Obecnie wielu ludzi z ITF powraca do źródła, bo przecież taekwondo to sport koreański, traktujemy się nawet po przyjacielsku. W każdej chwili dla dobra idei olimpijskiej mogą się do nas przyłączyć. Jeśli się nawet nie chcą do nas przyłączyć to i tak ich lubimy, nie traktujemy jako wrogów. Taekwondo jest jedno, ale człowiek stworzył dwie organizacje, powiem nawet, że istnieje około 200 innych pomniejszych federacji taekwondo. Nam to nie przeszkadza, każdy człowiek ma prawo wyboru, jest wolny. Każdy, także pan, może sobie tworzyć własną federację taekwondo, ale ta najważniejsza, to drzewo to WTF. WTF zdobyło największą popularność na świecie, poważanie i rangę.

– Co przeważa szale na korzyść WTF?

– Nie zaskoczę błyskotliwą odpowiedzią. To 4 mln ludzi ćwiczących w Korei, to tradycja i uznanie dla sportu tak wiele pomagającemu człowiekowi w rozwoju. Taekwondo nie należy uważać wyłącznie za ćwiczenia dla zdrowia.

– W ITF powiedzą to samo, a może więcej...

– Proszę pana, dziwię mnie informacjami mówiącymi o naszych dwóch zwalczających się organizacjach. To tylko kilka osób wzniesło niepotrzebny hałas. Uważamy się za braci, każdy może widzieć taekwondo po swojemu, chociaż drzwi WTF stoją otworem dla wszystkich.

– Dlaczego ludzie w Korei Południowej tak bardzo lubią taekwondo?

– Podobnie jak Polska, Korea jest tylko jednym ze 112 członków WTF, ale system organizacji tego sportu jest u nas perfekcyjny. Każda prowincja, miasto, nawet szkoła mają swoją sekcję, organizację. Na terenie kraju odbywa się mnóstwo zawodów. Praktycznie każdy Koreańczyk ma lub miał kontakt z taekwondo.

– Taekwondo w Polsce to mikroskopia. Jak możemy się równać z Koreańczykami kiedy naszym zawodnikom brakuje nawet sprzętu.

– Rozumiemy te kłopoty i my ze swej strony staramy się przy każdej okazji pomóc potrzebującym. Teraz też przywieźliśmy naszym zawodnikom kilka kompletów sprzętu ochronnego. Oglądałem waszych zawodników i sądzę, że w przyszłości stać ich będzie na dobre rezultaty. Gdyby zaistniała możliwość pracy w Polsce koreańskiego instruktora, postępek byłby błyskawiczny.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: LECH UFEL



Przykład precyzji i kunsztu. Wyskok, salto i nogi trafiły wprost w zawieszono jabłka.



Złamanie deski nie jest dowodem siły. Ten przedmiot to punkt odniesienia.

SILNA PIĘTA

Podczas ceremonii otwarcia XXIV Igrzysk Olimpijskich na stadionie w Seulu zaprezentowano przepiękne pokazy taekwondo. Tysiące koreańskich dziewcząt i chłopców, których przygotował główny instruktor **Kyu Hyung Lee**, zademonstrowało kunszt. Niedługo potem, bo w grudniu, mistrz

Lee przywiózł gromadkę najlepszych do Europy. Reprezentanci Korei Południowej po raz pierwszy na trasie wędrówki obrali też Polskę. Piękne widowiska w ich wykonaniu mogli podziwiać kibice w Lublinie i Ostrowcu Świętokrzyskim. O wspaniałych umiejętnościach koreańskich mistrzów stara się również opowiedzieć fotoreportaż Andrzeja Klimka.

GAZ

Olimpiada, mistrzostwa Europy – poprzedni rok wreszcie zaobfitował w zagraniczne wojaje. Zawodnicy uprawiający taekwondo WTF nie próżnowali niemal do ostatnich dni 1988 roku. Na ostatni weekend listopada wyznaczili sobie najważniejszą imprezę w kraju – mistrzostwa Polski. Gdański klub środowiskowy AZS, gospodarz imprezy, wielokrotnie zbierał opinie dobrego organizatora. Niestety: tym razem trochę się nie popisał. Mistrzostwom nie nadano odpowiedniej reklamy, sala AOS PG nie zwała kibiców, co należy uznać za zjawisko niecodzienne.

Ponurą, smętną atmosferę co pewien czas rozwiewali startujący zawodnicy. Trzeba przyznać, że dzięki udziałowi grupy trenera Ficka, z koszalińskiego Bałtyku, specjalizującej się w taekwondo ITF zawodnicy zyskali nieco na atrakcyjności. Mistrzostw nie można jednak komplementować. WTF robi światową karierę, lecz polscy mistrzowie zaprezentowali niezbyt wysoki poziom. Słabe umiejętności sportowe, wiele kłótni i sprzeczek, gaz tnąący na sali rozpylony przez anonimowego chłystka, niezbyt młde próby wpłynięcia na zmiany sędziowskich werdyktów – oto szkic tych mistrzostw.

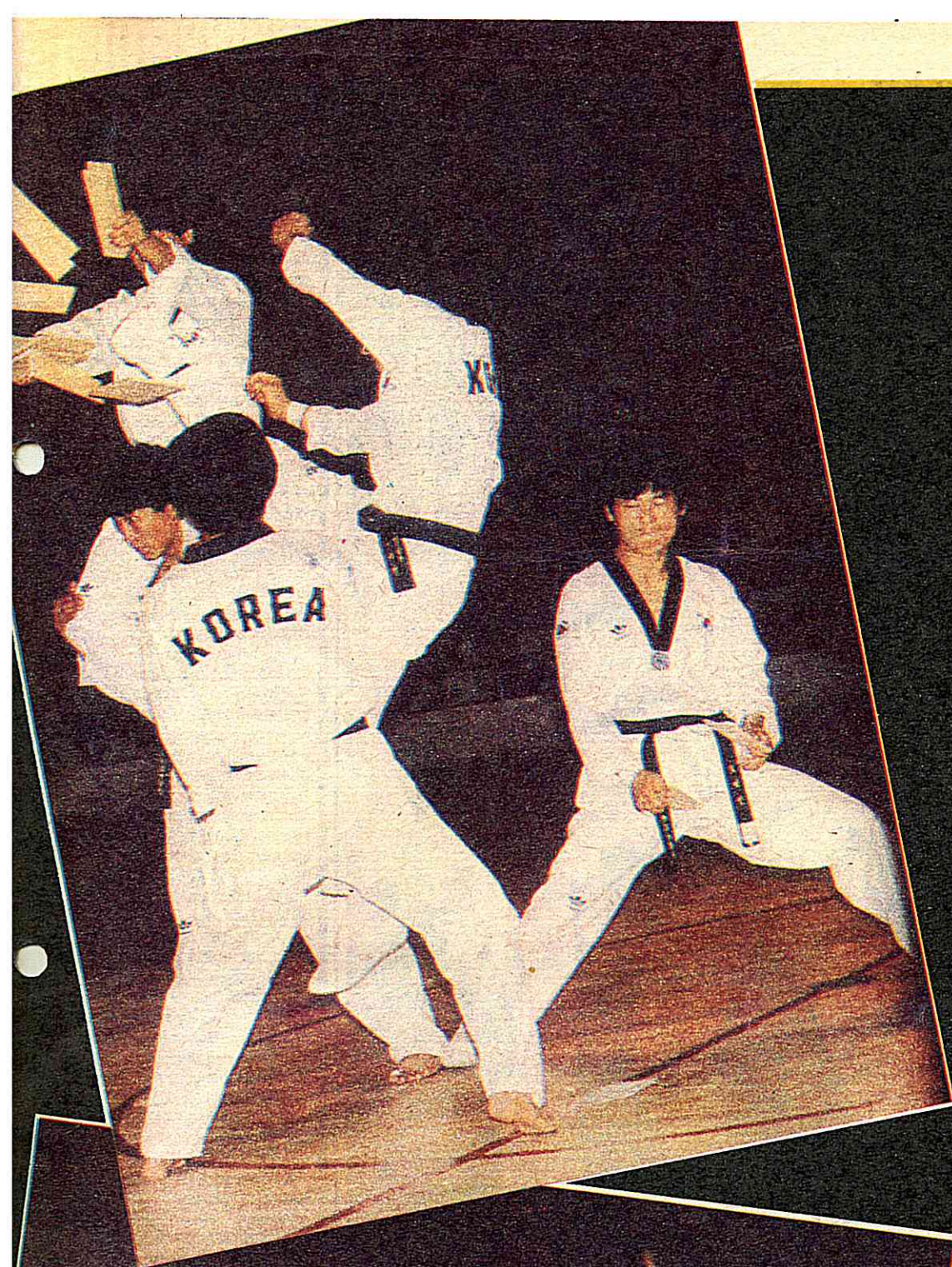
Być może były w Gdańsku osoby zainteresowane zamianą imprezy w karczemną awanturę. Nie sądzę jednak, żeby ten sposób prowadził do sukcesu. Jak zwykle bywa – przegrać mogą po prostu wszyscy...

AZS Lublin, pod wodzą Andrzeja Puchniarskiego, kolejny raz zwyciężył w rywalizacji drużynowej, słusznie chyba dowodząc, że jak na razie w tej odmianie koreańskiej sztuki walki orientuje się najlepiej. Wkrótce po gdańskich mistrzostwach, już w grudniu, doszło do historycznego wydarzenia w dziejach WTF w Polsce. Reprezentanci Korei Południowej, podczas europejskiego tournée, zmierzili się w walce z reprezentantami Polski. Z powodu kontuzji i zdekompletowania drużyny gości nie doszedł do skutku mecz Polska-Korea Południowa. W pojedynkach w tubelskiej sali nasi reprezentanci pokazali się już z dużo lepszej strony. Polacy nie musieli się wstydić przed swoimi nauczycielami. Mariusz Zdonek zdołał nawet minimalnie pokonać azjatyckiego rywala. Zwycięstwo z Koreańczykiem uznano za sensację dnia, ale gość wzorem swoich kolegów bokserów występujących podczas olimpiady w Seulu, nie bardzo chciał się zgodzić na sensację. Wdzieliśmy więc jak temperament, gorąca krew popychają do czynów uznawanych za niesportowe zachowanie.

W polskiej ekipie wystąpił jeszcze Jarosław Wnuk, któremu nie udało się powtórzyć wyczynu Zdonka. Konfrontacja ze światową potęgą taekwondo WTF mogła dodać optymizmu. Wydaje się, że przepaść, która dzieli jeszcze naszych asów od światowych mistrzów, może dość szybko zmaleć. Bardzo tego taekwondzistów WTF życzymy!

WYNIKI MISTRZOSTW POLSKI.

Waga do 50 kg: 1. Szachmytowski (AZS Gdańsk), 2. Grabowski (Zjednoczeni Olsztyn), 3. Sokołowski (AZS Lublin), Mróz (Krasnystaw); **54 kg:** 1. Świątkiewicz (Zorza Łomża), 2. Jurski (Wikingowie Pisz), 3. Sierżputowski (Zorza), Kobrzyński (Wikingowie); **58 kg:** 1. Zdonek (Wista Puławy), 2. Wenecki (AZS Gd.), 3. Starzomski, Górski (AZS L.); **64 kg:** 1. Kowalski (AZS L.), 2. Skroban (AZS L.), 3. Zajac (Relaks Ostrowiec), Jakimiuszko (Zjednoczeni); **70 kg:** 1. Baclawski (Zjednoczeni), 2. Mitura (Wista), 3. Oleksiewicz (AZS L.), Gronostaj (AZS Gd.); **76 kg:** Ptasznik (AZS L.), 2. Skiba (Bałtyk Koszalin), 3. Maj, Tumialis (Zorza); **83 kg:** 1. Nieróbca (AZS L.), 2. Ellert (AZS Gd.), 3. Warchol (Bałtyk), Stępiak (AZS Gd.); **powyżej 83 kg:** 1. Burakowski (Zjednoczeni), 2. Szczeciński (AZS Gd.), 3. Gzyl (Krynicky KT), Dziedzic (Zorza). **Drużynowo:** 1. AZS Lublin, 2. Zjednoczeni Olsztyn, 3. AZS Gdańsk.



Bardzo efektownym elementem pokazu były próby rozbijania desek.

Zdjęcia:
ANDRZEJ KLIMEK

Każdy kto choć raz brał udział w zawodach wie, jak wiele zależy tu od postawy sędziów. Sędziowie kierują walką i dzięki nim toczy się ona zgodnie z pewnymi regułami nie zmieniając się w bójkę nie mającą związków z rywalizacją sportową. Oni też decydują o tym, który z dwóch walczących przeciwników jest zwycięzcą. Czy jednak zawsze wygrywa lepszy? Kibice, trenerzy i zawodnicy często kwestionują decyzje sędziów oskarżając ich o stronniczość i „drukowanie” wyników. Jednocześnie sędziowie bronią się argumentując, że zawodnicy (lub trenerzy) nie znają dokładnie przepisów, mówią o elementarnej uczciwości i ocenie zgodnej z sumieniem. Czy jednak sędzia jest bez „winy”?

Ażylackie sporty walki są dyscyplinami niewymiernymi i pomijając wyjątkowe sytuacje, takie jak nokaut (taekwondo, kick-boxing i kyokushin) lub ippon (judo) kończące walkę przed czasem, w większości przypadków werdykt wydaje pan Nowak lub Kowalski: „On jest moim zdaniem lepszy”. Od wielu lat ten problem oceny jest obiektem badań psychologicznych. Przedstawię tu kilka z podstawowych zjawisk potwierdzonych w wielu badaniach, odwołując się najczęściej do przykładów z sędziowania zawodów według przepisów Światowej Federacji Taekwondo.

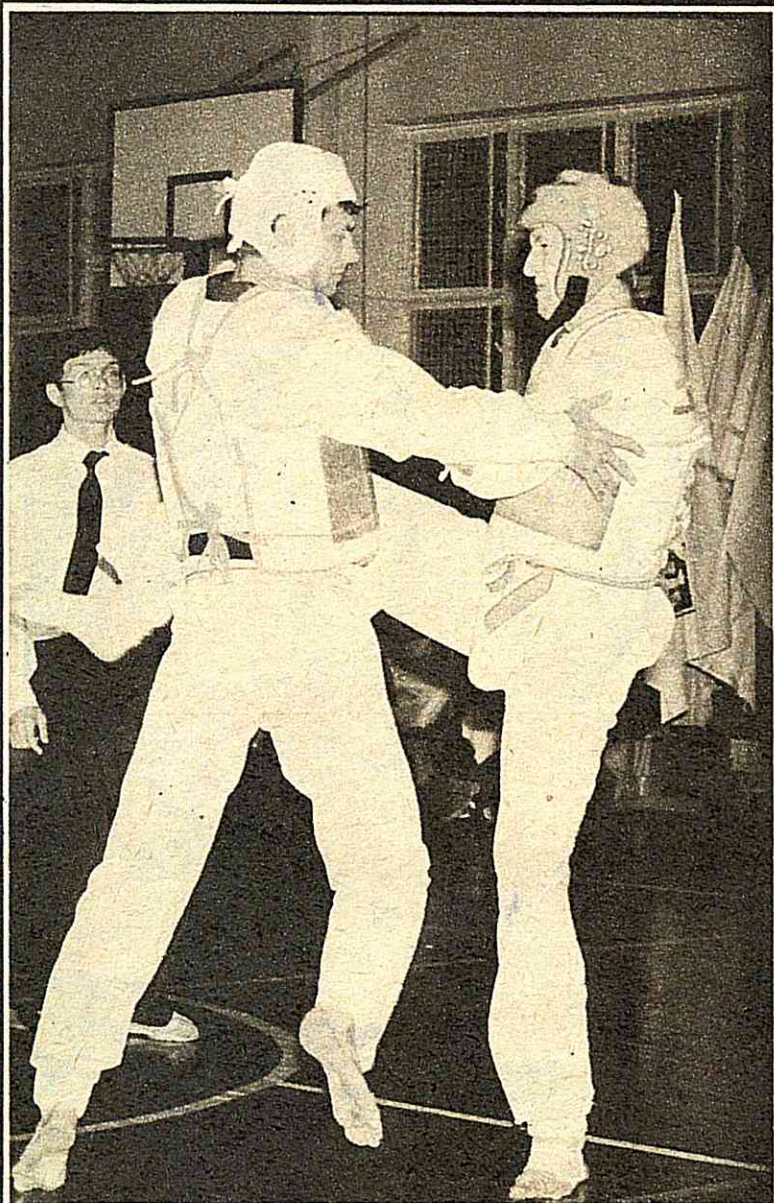
Czy to co spostrzega sędzia jest zgodne z rzeczywistością? Okazuje się, że nie! Odbiór informacji, jej selekcja i interpretacja podlega olbrzymim wpływom nastawienia, emocji i potrzeb. Człowiek przejawia gotowość do spostrzegania otoczenia w określony sposób. Ta gotowość (czyli nastawienie) spełnia funkcję selekcyjną, a więc określa to, co spostrzegamy oraz jak to spostrzegamy – powodując niedoceniając lub przeceniając pewnych aspektów rzeczywistości. Z tego też powodu sędzia poinstruowany na odprawie przed zawodami lub przed walką o tym, że ma zwracać szczególną uwagę na przewinienia polegające na zbyt niskich kopnięciach (czy też ataku ręką w twarz) będzie znacznie ostrzej oceniał takie przewinienie lub nawet dopatrywał się go w przypadkach, gdzie go w ogóle nie było! I nie robi tego ze złej woli, przeciwnie – jest przekonany o swojej obiektywności.

Podobnie zaburzający wpływ mają emocje i potrzeby. Im są silniejsze, tym bardziej człowiek traci zdolność obiektywnego spostrzegania, ponieważ nawet w neutralnych sytuacjach dostrzega i bierze pod uwagę tylko te aspekty, które dadzą się pogodzić z tym, co aktualnie przeżywa. Ślad sytuacji, w których sędzia przyjęty gościnnie przez gospodarzy sędziuje na ich korzyść. Może też być i tak, że sędzia zdenerwowany nadmiernym hałaśliwym dopingiem będzie spostrzegał akcje zawodnika dopingowanego jako mniej wartościowe lub też wręcz niezgodne z przepisami. Również sędzia odczuwający silną potrzebę akcentowania własnej niezależności będzie podejmował decyzje sprzeczne z narzucającym mu przez kibiców (a często i rzeczywistość) sposobem oceny.

Doświadczenie

Powszechna jest wiara w to, że doświadczenie poprawia trafność oceny. Dlatego też przepisy sędziowskie kładą duży nacisk na kwalifikacje sędziego, np. w taekwondo sędzia dopuszczony do zawodów międzynarodowych musi legitymować się minimum stopniem 3 dan. Jednak tego rodzaju wiara została po raz pierwszy zachwiana przez słynne badania Goldberga w 1968 roku, w których porównywał on doświadczonych klinicystów i sekretarki w zakresie trafności diagnoz dotyczących uszkodzenia mózgu. Okazało się, że diagnozy klinicystów nie były w niczym lepsze od diagnoz sekretarek! Za-

SĘDZIA



Walka o mistrzostwo Polski w taekwondo WTF. Sędziuje (na zdjęciu w głębi) autor artykułu.

Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

LIPA?

pomnijmy jednak o tym spektakularnym wyniku. Dokładniejsze badania ekspertów i laików wykazały, że jednak doświadczenie często poprawia jakość oceny. Poprawa taka jest możliwa dzięki zakodowaniu w pamięci wielu przypadków z danej dziedziny i łatwemu do nich dostępowi w momencie formułowania oceny. Sędzia o długoletnim stażu zawodniczym może łatwiej i pewniej podjąć decyzję, czy dane uderzenie w korpus miało odpowiednią siłę pozwalającą na przyznanie punktu. Może wtedy błyskawicznie przypomnieć sobie podobną sytuację z własnej kariery. Często takie przypomnienie ma miejsce w podświadomości, a sędzia świadomie stwierdza jedynie, że „wie”, iż był tu punkt. A

do czego ma się odwołać sędzia, który nigdy nie walczył w zawodach?

Efekt aureoli

Wyobraźmy sobie następującą sytuację: do walki wychodzi znany zawodnik, członek kadry narodowej. Jego przeciwnikiem jest znacznie mniej znany zawodnik. Czy sędzia tak samo traktuje obu zawodników? Okazuje się, że często po zidentyfikowaniu u danej osoby pewnej dodatniej cechy (w tym wypadku może to być fachowość, mistrzostwo sportowe), czyli tzw. aureoli ocenia się ją znacznie lepiej i przypisuje jej dalsze cechy pozytywne. W takim przypadku sędzia może mieć tendencję do przeceniania akcji swego

faworyta i niedoceniać akcji jego przeciwnika. Ten proces może komplikować się w pewnych warunkach. Gdy faworyt zaczął walczyć znacznie poniżej oczekiwań sędziów, to „zawiedziony” sędzia „karze” go za nając znacznie wyżej cenić akcję jego przeciwnika (choć faworyt może być nawet niego lepszy). Ten efekt występuje szczególnie wyraźnie w sytuacjach mało jasnych, w przypadku remisu bez punktów. Przekazuje o tym dotkliwie Janusz Pawłowski w finale ostatnich mistrzostw Polski. Sędzia wskazał na jego przeciwnika, a prozdona równolegle komputerowa analiza w ramach eksperymentu Instytutu Sportu wykazała wyższość Pawłowskiego!

Swój?

Nie tylko znane nazwisko decyduje o tym, że można kogoś faworyzować. Badania kazuja, że większość ludzi dzieli innych na grupy: przynależnych do grupy własnej, obcej i wrogiej. Jeżeli ktoś został zakwalifikowany do grupy własnej, to mamy również tendencję do faworyzowania go, a jeśli na do grupy obcej – do dyskryminowania. Najbardziej dyskryminowani są członkowie grupy „wrogiej”. A jak to wygląda w praktyce? Wiedzą najlepiej zawodnicy, którzy przegrali w zawodach innych odmian sportu, taekwondo czy w kick-boxingu. Taki zawodnik musi najczęściej długo przebiegać do czołówki zanim zostanie uznany przez sędziów za „swojego”.

Ponownie wróćmy do początków w taekwondo. Obaj zawodnicy prezentują podobny poziom i są mało znani sędziemu. Czy jest to sytuacja optymalna? Znowu nie! Tu również sędzia może określić swego „faworyta” i robić to stosunku do tego zawodnika, który wykazuje pierwszy skuteczną (lub tylko efektywną) akcję. Dalsze zachowanie „faworyta” jest ściśle strzegane przez przyzmat tego pierwszego. Zjawisko to występuje najczęściej, gdy sędzia zupełnie nie zna zawodnika, dopiero kształtuje pewne przekonania na temat. Trzeba też dodać, że pierwsze wrażenie nie jest często błędne. W tej sytuacji prowadzenie zgodnych z nim informacji prowadzi do pogłębienia się błędu. To zjawisko tłumaczy może paradoksalną sytuację, w której protokoły sędziowskie wykazują kilkukrotnie przewagę i zwycięstwo... obu zawodników (np. 2 sędziów głosuje na zawodnika w czerwonym protektorze, a pozostałych 3 na zawodnika w niebieskim protektorze). Każde z tych sędziów ze względu na jakąś cechę znał za faworyta jednego lub drugiego zawodnika.

Tę niezbyt budującą wizję kształtowała się proces oceny można zakończyć opis kolejnego zjawiska, noszącego nazwę dysonansu poznawczego. Najprościej rzecz ujmując z dysonansem poznawczym stykamy się w momencie podejmowania decyzji, którą z dwóch zawodników uznajemy za zwycięzcę. Od momentu, w którym sędzia podjął decyzję zaczyna odbierać (a nawet wysysać) tylko te informacje, które potwierdzają jego wybór. Co więcej, zaczyna wyszukiwać coraz więcej cech ujemnych (np. „słaba technika”, „mało agresywny” itp.) u zawodnika, którego za pokonanego. W takiej sytuacji większość protestów i odwołań od decyzji sędziowskiej z góry jest skazana na niepowodzenie, gdyż sędziowie mogą przedstawić całą masę argumentów potwierdzających decyzję. Czy przytoczone tu fakty oznaczają, że sędzia zawsze i wszędzie wydaje błędny werdykt? Oczywiście, że nie, gdyż zjawisko występuje u różnych ludzi w różnym stopniu, zależnie od osobowości, a nawet i (na przykład kobiety łatwiej ulegają efektowi aureoli). Zależą też od stopnia zmęczenia. Zmęczony sędzia ma nie tylko trudniej z koncentracją uwagi, ale również łatwiej ulega emocjom, a wtedy szybciej popełnia błędy. Dużo zależy więc od organizatora zawodów i trenerów. Sugestia, aby nie utracili pracy arbitrowi i w ten sposób nie szkodili sobie. Sędziowie natomiast powinni brać pod uwagę te naturalne skłonności ograniczenia swojej oceny...

DARIUSZ NOWIK

KICK-BOXING ●

PIĘCIOBOISTA

Zdjęcia: SYLWESTER MORAWSKI

I Mistrzostwa Polski w full-contactie

Do Elbląga zjechało 32. zawodników wyłonionych z licznej grupy kick-bokserów startujących w turniejach eliminacyjnych (strefowych) przeprowadzonych według formuły lekkiego kontaktu. Tylko najlepsi ze stref mieli szansę zaprezentowania się elbląskiej publiczności. Aby tego dokonać musieli wykazać się przynajmniej czterema zwycięstwami. Bardzo rygorystycznie (i słusznie) podchodzono do aktualnych badań lekarskich zakwalifikowanych kick-bokserów. Już w samym Elblągu zdarzył się przypadek, że zawodnik stawiał się do walki, ale nie został dopuszczony, bo nie miał ważnych badań.

P przed pierwszym gongiem obawy mieli wszyscy, to trzeba uczciwie przyznać, głównie zaś organizatorzy, którzy, gdyby coś się wydarzyło, musieliby świecić oczyma. Po jednodniowym turnieju wszyscy byli jednak zadowoleni, organizatorzy, bo wszystko udało się znakomicie, zawodnicy, bo za swój trud nagrodzeni zostali medalami. Najbardziej zadowolony był oczywiście **Andrzej Palacz**, trener SKK PW Warszawa, od kilku lat odpowiadający za przygotowanie reprezentantów Polski do mistrzowskich turniejów. Jego podopieczni wygrali sześć kategorii wagowych na dziesięć rozegranych. To osiągnięcie zostało wsparte trzema srebrnymi i dwoma brązowymi medalami. Drużącą przewagę, ale nikogo to w Elblągu nie dziwiło. SKK do niedawna był praktycznie jedynym klubem w polskim kick-boxingu pracującym w oparciu o prawidłowe szkoleniowe podstawy. Ale pod boki wyrósł drugi prężny ośro-

dek – AZS AWF. Wiele wskazuje, że zespół kierowany przez trenera **Jarosława Rogalę** coraz mocniej będzie się przebił.

Mistrzostwa w Elblągu miały trójkę bohaterów i jeszcze kilku innych, o których było nie mniej głośno. Na przykład **Wojciech Wiertel**. Jego droga do kick-boxingu jest całkiem nietypowa. Któż bowiem wymyśliłby, że na ringu pojawi się zawodnik, który wcześniej przez wiele lat uprawiał i to z powodzeniem pięciobój nowoczesny. Walki Wiertela w mistrzostwach Polski zasługiwały na duże uznanie... Przystawało dziwić, że były mistrz Polski juniorów w pięciobój, został teraz najlepszym polskim kick-bokserem w pełnokontaktowej walce w wadze 67 kg.

Drugim zawodnikiem, o którym dużo się mówiło podczas mistrzostw był **Józef Warchoł** od pewnego czasu zajmujący się kick-boxingiem. Wcześniej przez wiele lat uprawiał karate kyokushinkai, sięgając w tym stylu po medale i tytuły mistrza kraju. Sądząc po tym co pokazał w Elblągu może liczyć na sukcesy w nowej dyscyplinie. Kilka miesię-



NA RINGU

cy wcześniej rywalizował z Piotrowskim podczas gali w Koszalinie i zdecydowanie przegrał, mimo iż ten drugi walczył praktycznie tylko jedną ręką. Jednego Warchoła nie można odmówić w czasie jego występów zawsze coś ciekawego się dzieje na ringu. Jest zawodnikiem agresywnym, preferującym ogromne tempo i atak non stop. Kibicom na pewno to się podoba, bo jest typowym fighterem.

Pod względem wyszkolenia technicznego dość wyraźnie wyprzedzało stawkę rywali trzech zawodników SKK: Przemysław Saleta, Piotr Siegoczyński i Marek Sawicki. W tej grupie miało najlepszego zawodnika przypadło mistrzowi Europy – Salecie, ale kto wie, czy większego wrażenia nie zrobił na wszystkich Piotr Siegoczyński, który powiedział: „Po kilku nieudanych mistrzowskich startach zabrałem się ostro do pracy, bo widzę, że czas ucieka, a wraz z nim moje szanse. W Elblągu walczyło mi się znakomicie. Myślę, że w nowym sezonie jeszcze o mnie usłyszą”.

Przemysław Saleta jest wysokim mężczyzną (193 cm), ale jednocześnie bardzo szczupłym jak na wagę superciężką. W mistrzostwach walczył w wadze ciężkiej do 91 kg, bowiem w innym przypadku w ogóle nie wystartowałby gdyż w wyższej kategorii nie było rywali. Nic dziwnego, że przy takim wzroście poruszał się w ringu jak baletnica. Znacznymi umiejętnościami technicznymi błysnął także Bogdan Sawicki, choć jemu chyba najtrudniej przyszło zdobyć złotego medalu. Młodzieńcy 17-letni Grzegorz Płocharczyk z warszawskiej AZS AWF zmusił go do wielkiego wysiłku. Jeszcze wygrał Sawicki, ale następnym razem sytuacja może być odwrotna.

Bardzo obawiano się tych mistrzostw w full-contakcie, ale elbląski turniej był ze wszech miar udany. Nie wszystko przebiegało jednak w idealny sposób. Chciałbym zwrócić uwagę na dwa elementy, nad którymi trzeba się poważnie zastanowić. Po pierwsze: selekcja zawodników dopuszczonych do finałowego turnieju pełnokontaktowego musi być jeszcze ostrzejsza. Po drugie: nigdy za wiele troski o zdrowie startujących. Lepiej, gdy sędzia przerwie pojedynek o sekundę szybciej niż o ułamek sekundy za późno. To samo można zresztą odnieść do sekundantów, liczących w niektórych sytuacjach chyba tylko na cud.

GRZEGORZ KRZEMIŃSKI

FORMUŁA FULL-CONTACT

54 kg: 1. Chryciuk (SKK Warszawa) 2. Szachmytowski (AZS Gdańsk), **57 kg:** 1. Siegoczyński (SKK) 2. Koźlak (Orion Kraków), **60 kg:** 1. Sawicki (SKK) 2. Płocharczyk (AZS AWF Warszawa) 3. Laszczyk i Piwowarski (oba z Orionu Kraków), **63,5 kg:** 1. Drażdżyński (Warta Poznań) 2. Nowakowski (SKK) 3. Konieczny (Orion), **67 kg:** 1. Wiertel (AZS AWF Warszawa) 2. Falender (SKK) 3. Porębski (AZS Gdańsk) i Reisch (SKK), **71 kg:** 1. Hyrlik 2. Cuszlag 3. Woźniczka (wszyscy SKK), **75 kg:** 1. Zdziarski (SKK) 2. Morawski (Elbląski KK) 3. Żochowski (SKK) i Janas (Orion Kraków), **81 kg:** 1. Warchoł (Bałtyk Koszalin) 2. Rumas (AZS AWF Warszawa) 3. Zapiór (SKK) i Pańko (Orion Kraków), **91 kg:** 1. Saleta (SKK) 2. Wachnik (AZS AWF Warszawa) 3. Wąsik (Polonia Pastęki) i Głowa (Orion Kraków).

– „**Przyjacielu! Powiedz mi, jaki jest twój biznes?**” – Tom Holbert, tak nazywa się facet, który zadał mi to proste pytanie. Właściwie niewiele nas różni jeśli mowa o kick-boxingu. On na Wyspach bawi się w to samo co ja w Polsce: organizacją imprez. Chociaż różni nas też wiele: Tom jest właścicielem sieci hoteli w Londynie, ja – Jerzy Wątorski – w dniu naszego ostatniego spotkania, tuż po finałach Pucharu Świata w Budapeszcie, pozostawałem kierownikiem sali w słynnej restauracji „Rycerska”, w mieście Pastęki...

proszeniach po raz pierwszy w kraju widnieje anons kick-boxing, a do Pastęki zjedzie ponad setka czołowych zawodników, wtedy mogę mówić o spotkaniu ze szczęściem.

Po styczniowym turnieju prezes Marek Frysz i trener kadry narodowej Andrzej Palacz zaprosili mnie do ściślejszej współpracy i powierzyli funkcję sekretarza Rady Klubów Kick-Boxingu w Polsce. Ale ołtarcie o wielki kick-boxing nastąpiło parę miesięcy wcześniej, na mistrzostwach świata w semi-contakcie w listopadzie 1985 roku w Budapeszcie. Wówczas to stało się coś, co pozwoliło naszemu sportowi śmiało wyjść na światło dzienne.

Pamiętam to aż nadto dobrze. Najpierw Węgier do spółki z Turkiem wynosili mnie z maty wykręcając mocno ręce. Nie mogłem się powstrzymać, to było silniejsze ode mnie i kiedy występujący w barwach brytyjskich

Hindus po czystej technice Piotra Siegoczyńskiego symulował uderzenie p pasa, musiałem wbiec i krzyknąć: „*nothing!*”. A potem był telefon za wysłał ostatnie 90 forintów: „*Polak został mistrzem świata w kick-boxingu!*” „*W czym? czym?*” – redaktor dyżurny w Polskiej Agencji Prasowej nie bardzo kojarzył o czym mowa. „*K, jak Krzysztof, I jak Irena, C...*” – krzyknąłem do słuchawki jak opętany, tylko po dowiedzieć się z krajowej gazety, iż odniósł kolejny sukces w...karate. Ludzie, karate rozwija się jak najlepiej, ale więc nie mylcie!

A jednak miałem po tym i własną pracę. Kiedy wspólnie z prezesem Fryszem i trenerem Palaczem złożyliśmy wizytę u szanownemu dyrektorowi departamentu sportu GKKFT i pilnowaliśmy bardzo, by nie zabrakło nagrody dla Piotra, z satysfakcją

KIEROWNNIK

W tak młodym sporcie, jakim pozostaje kick-boxing, gdzie tak naprawdę wszystko się dopiero rodzi i człowiek czuje się jeszcze pionierem podbijającym Dziką Zachód, nawet życie działacza jest piękne. Weźmy choćby taką organizację imprez. Najpierw w mojej tyś głowie powstaje pomysł. Wspomniałem, znakomity, cudowny, po którym co najmniej przez parę godzin dzielących mnie od zaślęcia unoszę się w powietrzu, jak nastolatek, który wypił właśnie butelkę szampana w towarzystwie najbliższej sery dziewczyny. Rano budzę się już z kacem, który nachodzi mnie natychmiast po tym, kiedy przypominę sobie o pieniądzach. Pieniądzy nie ma. Nie ma i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nie będzie. Wtedy zaczyna się etap drugi: stukanie na maszynie. A gdy papiery pokryte są pięknymi słowami, czeka mnie etap trzeci i najważniejszy – gimnastyka artystyczna.

Gimnastyka polega na chodzeniu. Są gabinety, do których wchodzi głośno, z podniesioną głową, podkreślając wyraźnie, że to właśnie ja przyszedłem z wizytą. Do innych zbliżam się na paluszkach, wsuwając głowę nieco poniżej klamki, z niejaką obawą, czy już za chwilę nie pozostanie mi czasem odcisk buta na tylnej części spodni. Ale skoro jestem w środku, przechodzę test z wiedzy o życiu i zabawę w słowa. Dla wielu ludzi kick-boxing zaczyna się tam, gdzie apostołowie „prawdziwego” sportu mówią już dobranoc.

Bywa i tak, że bardzo ważne osoby wyrażają zgodę. Teraz już wiem, że one będą się starać również. Po takiej zaprawie, uzgadnianie, przekonywanie, nakłanianie, słowem zapraszanie jest już drobiazgiem.

To nic, że zwykle w trakcie najciekawszych walk finałowych sprzątaczką krzycząc: „*Panie Jurku, przepaliły się korki, mógłby pan wymienić?*” – odrywa mnie od mikrofonu. To nic, że „organizując” dla wszystkich ekip wideo i parę innych drobiazgów sprawiających, że impreza ma duszę, staję się na pewien czas najbardziej zadłużonym człowiekiem w Układzie Warszawskim. Jeśli, tak jak to się stało 17 stycznia 1986 roku na ogólnopolskim turnieju, podczas którego nawet na za-

Zdjęcie GRZEGORZ SAJDAK



Sport demonstrowany na tym zdjęciu uwielbia Wątorski.

TAJEMNICE

AIKIDO tkwiące korzeniami w wielowiekowej tradycji sztuki walki Japonii, a będące zarazem najmłodszą gałęzią sztuk Budo, zaczerpnęło wiele elementów i metod treningowych z akupresury, shiatsu, yogi i za-zen. Stojąc w cieniu dynamicznych walorów sztuki walki, niezmiernie bogatego arsenału technik, stanowią one podłoże do poprawy stanu zdrowia oraz osiągnięcia pełnej koordynacji psychoruchowej. Wymieniając zalety zdrowotne aikido, chciałbym zaakcentować, że wszystkie techniki wykonywane wolno, tworzą system ćwiczeń rozciągających – gibkościowych stosowanych często zamiennie z typową ogólnorozwojową rozgrzewką.

Najwięcej tych elementów występuje w trakcie rozgrzewki oraz ćwiczeń specjalistycznych takich jak: shikko, kołyski, trening padów. Masaż stóp (shiatsu) oraz poszczególnych punktów ciała (akupresura) powoduje wyższy poziom wydolności organizmu w czasie treningu. Ćwiczenia chodzenia po japońsku (shikko) oraz prowadzenie walki w tejże pozycji (suwari waza) stanowią formę auto-shiatsu. Charakter pracy palców stóp oraz zmiany napięcia powierzchni poduszki stóp w trakcie powyższych ćwiczeń zastępują typowo wykonywany masaż palcami rąk.

Formą wprowadzającą do nauki padów są kołyski wykonywane z różnych pozycji oraz pady łagodne do przodu i do tyłu tak zwane zenpo kaiten ukemi oraz ushiro kaiten ukemi. Podczas tych ćwiczeń uciskowi i masażowi poddawane są grupy mięśni grzbietu leżące wzdłuż kręgosłupa. Masaż tych grup mięśni jest jednym z elementów masażu leczniczych w skrzywieniach kręgosłupa zarówno u dzieci jak i u dorosłych. W ten sposób ulega poprawie praca mięśni w okresach stałych obciążeń kręgosłupa, tak często spotykanych w życiu codziennym.

Oddychanie, jako podstawowy element oraz jako hasło jest kluczem zarówno do mistrzostwa w sztuce walki jak również drogą do pełni zdrowia (pranajama – nauka oddychania w yodze). Stwierdzenie, że nie ma aikido bez oddychania i to prawidłowego, można niewątpliwie odnieść do wszystkich sztuk walki oraz systemów medytacyjnych. Umiejętność oddychania oraz jego kontrola zwiększają efektywność sztuki, a zarazem wydolność wysiłkową organizmu.

Poruszanie się w aikido jest zbliżone do naturalnego chodzenia. Czym więcej naturalności w sztuce, tym więcej mistrzostwa. Charakter obciążeń i tempo treningu wymagają w wielu dyscyplinach sportu szczególnych warunków fizycznych. Uniwersalność ma stopień wytrenowania ogólnego. Odpowiednio prowadzony trening pozwala osobom o słabej sprawności zwiększyć ją i osiągać zadowolenie z płynności ruchów, natomiast sprawnym pozwala budować wytrzymałość oraz szukać dróg do rozwoju zdolności parapsychicznych. Oczywiście jest, że osoby o dużej sprawności fizycznej osiągną większy i szybszy progres w umiejętnościach technicznych, ale... sedno aikido znajduje się głęboko w strukturach psychiki człowieka, w jego spójności duchowej, w kolorystyce osobowości, najsmielisi twierdzą zaś, że w metafizyce.

Jak w każdej sztuce walki, czy też sporcie, tak i tu rodzi się pytanie o niebezpieczeństwo kontuzji. Analizując ostatnie cztery lata treningów w sekcji aikido AZS Politechniki Szczecińskiej, prowadzonej przez instruktora mgr Jacka Wysockiego (1 dan), mogę stwierdzić, że mimo iż przez salę treningową przeszło kilkadziesiąt osób, które poddały się treningom, liczba urazów była minimalna, a biorąc pod uwagę liczbę zajęć i uczestniczących w nich osób – niezauważalna.

Opierając się na ocenach instruktorów aikido, zarówno z kraju, a szczególnie mistrzów G. Filipiniego, Y. Kitaury oraz T. Ichimury, prowadzących swoje treningi w Mediolanie, Madrycie i Uppsali, należałoby przyjąć tę sztukę walki jako możliwą do prowadzenia w ramach rekreacji, masowej kultury fizycznej, a może nawet rehabilitacji...?

ANDRZEJ BUCZKOWSKI

OSTRZENIE MIECZA

Rozmowa z KONRADEM SZCZEPARĄ, sekretarzem Komisji Kendo PZ Karate

– Są opinie, że wasza komisja istnieje tylko na papierze. Co się dzieje w środowisku polskich kendoków?

– Dzieje się sporo ciekawych rzeczy. Oto podczas międzynarodowego indywidualnego turnieju w Szeged na Węgrzech Jerzy Czapla zdobył trzecie miejsce i miał on twardy orzech do zgryzienia, gdyż turniej był silnie obsadzony. Ponadto Jerzy Czapla i Zbigniew Musiak przeprowadzali treningi dla kendoków czeskosłowackich. Najważniejszym wydarzeniem był oczywiście pobyt na międzynarodowym zgrupowaniu kendo w Berlinie Zachodnim.

– Dlaczego zgrupowanie w Berlinie Zachodnim jest tak ważnym wydarzeniem?

– Co roku w okresie pomiędzy świętami Bożego Narodzenia, a Nowym Rokiem odbywają się w Berlinie Zachodnim międzynarodowe zgrupowania szkoleniowo-treningowe kendo. Ubiegłoroczne było już siedemnaste z kolei. Wzięli w nim udział, obok gospodarzy i innych ekip zachodnioeuropejskich, po raz pierwszy kendocy z Polski, Węgier i Czechosłowacji. Ogółem w zgrupowaniu uczestniczyło sto osób, w tym ośmiu zawodników z Polski.

– Czy jest to sukces?

– Zgrupowania w Berlinie Zachodnim cieszą się dużym uznaniem i wysoką frekwencją zawodników najwyższej klasy. Przyczynia się do tego fakt, że organizowane są one zawsze na trzy miesiące przed mistrzostwami Europy lub świata. Stanowią więc znakomitą okazję do rozpoczęcia intensywnych przygotowań do startu w tych mistrzostwach.

– Czym charakteryzują się wymienione zgrupowania?

– Zgrupowania międzynarodowe kierowane są przez japońskich mistrzów miecza najwyższej klasy, trenerów delegowanych przez Ogólnojapońską i Międzynarodową Federację Kendo. Tamto zgrupowanie prowadził pan Aoki Eiji (7 dan).

– Co zyskali Polacy?

– Poza oczywistymi korzyściami płynącymi z uczestnictwa w zajęciach prowadzonych przez trenera tak wysokiej klasy, udział w zgrupowaniu dał okazję do porównania własnych umiejętności szermierczych z umiejętnościami zawodników należących do ścisłej czołówki europejskiej.

– Czy było wiele okazji do sprawdzenia swoich umiejętności?

– Podczas pięciu dni pobytu było mnóstwo okazji. Mam na myśli zarówno walki treningowe (są to walki niesędziowane, toczone w łazie treningu zwanej Jigeiko), jak i walki sędziowane, turniejowe.

– Czy wymienione zgrupowania kończą się zawodami?

– Na zakończenie berlińskiego zgrupowania tradycyjnie rozgrywany jest nieoficjalny, symboliczny turniej „Niemcy” – „Reszta Europy”. Do drużyny złożonej z dwudziestu osób, reprezentującej „Resztę Europy” wybrano pięciu zawodników z Polski. Drużynę rywali nieprzypadkowo „ustawiono” tak, żeby naprzeciwko zawodników polskich znaleźli się najsilniejsi zawodnicy niemieccy.

– Jak wypadli Polacy?

– W tej bezpośredniej konfrontacji nadspodziewanie dobrze. Największą sensacją turnieju stała się porażka aktualnego mistrza RFN, Ralfa Lehmana, poniesiona w walce z Jerzym Czaplą. Remisem zakończyła się walka Artura Hessesla choć miał on wyraźną optyczną przewagę nad swym przeciwnikiem. Dwaj inni polscy kendocy Andrzej Kustos i Andrzej Siewlewicz również wygrali swoje walki.

– Czy liczymy się zatem w Europie?

– Turniej ten dowiódł, że Polacy stanowią aktualnie jedną z niewielu w Europie ekip, która może stawiać czoła drużynie RFN. Przypomnę, że RFN zdobyła podczas mistrzostw Europy w Malmö w 1987 r. tytuł wicemistrza. Pierwsze miejsce zajęli Francuzi.

– Jakże refleksje nasuwają się po udziale w zgrupowaniu?

– Oceniam optymistycznie szansę polskich kendoków podczas mistrzostw Europy w Amsterdamie. Oczywiście, jeśli wyjazd polskiej ekipy na te mistrzostwa dojdzie do skutku.

Rozmawiał:

TOMASZ RADZYŃKIEWICZ

alem okrzyki na korytarzu: „przejdźcie dla świata z Pasfeka!”. Przez skromność nie protestowałem, nie tłumaczyłem, iż równo Siegoczyński, jak Frysz i Palacz – stoją rodowymi warszawiakami.

Dwaj ostatni potrafili jednak zemścić się na mnie. Podczas mistrzostw Polski juniorów Legnicy rozgrywanych w 1986 roku, to nie wyznaczyli do sędziowania pojedynków między zdecydowanie najlepszymi zawodnikami ze stolicy, a reprezentantami gospodarki. Kiedy tylko pojawiałem się na macie, – pewnie ze względu na mój superajny wygląd zewnętrzny – skandowały śladami: „Maliniak, Maliniak”. To jeszcze e byłoby takie straszne, ale każda uwaga od adresem faworyta publiczności powodowała złowrogie wycie. Z drugiej strony, stojący w narożniku warszawiak-Palacz przyglądał mi się groźnie.

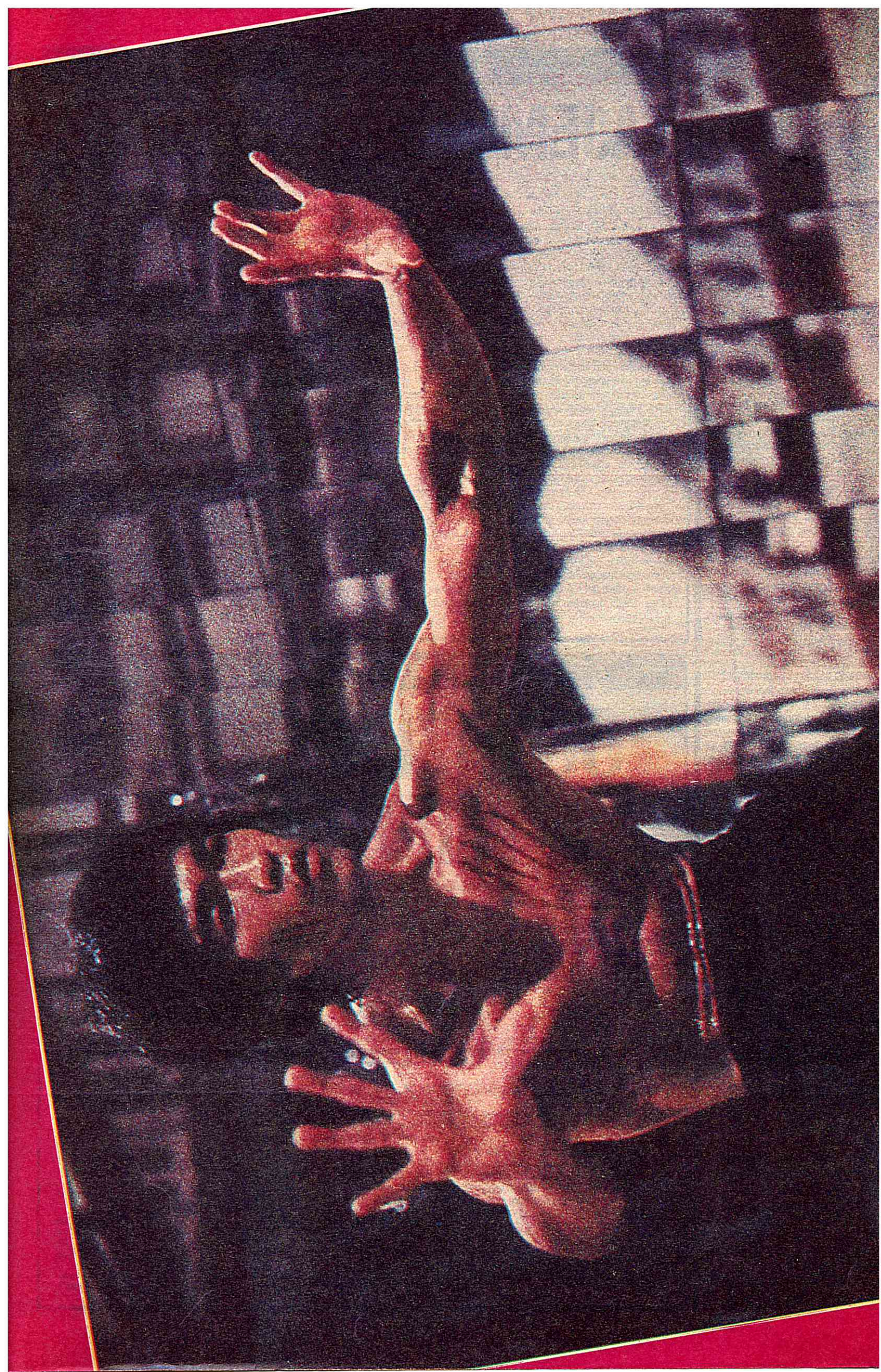
Poznanie tajników sędziowania przydało mi się bardzo, choćby w trakcie finałów Puławy Świata w Budapeszcie. Po pierwszej rundzie, w trakcie której Marek Piotrowski oładał niemiłosiernie Węgry Hugyeltza, zająłem w kartki leżące przed arbitrami i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Szanowni anowie sędziowie uznali, że Marek był rzadko używał nóg, ukarali go za to minus punktem i w efekcie, największy faworyt matorskim kick-boxingu przegrywał walkę. Strzeżony Marek wziął sobie to bardzo do serca i zaraz po komendzie „fight!” rozpoczął aką kanonadę, iż po niespełna minucie przeżony Węgier uciekał plecami do Piotrowskiego w kierunku trenera Kiri, który pobił, a – godnie twierdzą wszyscy obserwatorzy, rekord świata w szybkości rzucania ręką – ręką.

Za moje serce i ojcowską prawdziwie troskę o zawodników, zostałem jednak nakarcony niewdzięcznością. Oto czekając z całą drużyną na taksówkę do hotelu, stałem pierwszy w kolejce. Przede mną wcisnęła się w pewnym momencie grupa Cyganów, a kiedy próbowałem protestować, pewna kobieta wagi mniej więcej superciężkiej wymierzyła mi potężny prawy sierp, jakiego nie powstyżiłby się choćby Waldek Hylarik. Kiedy odnażyłem już „zgubiony” na moment błędnik i spojrziałem z wyrzutem na drużynę dostrzegłem tylko źle ukrywane rozbawienie. „Jak to – nie wytrzymałem – wśród najlepszych faworytów w Europie nie znajdzie się nikt gotowy bronić pobitego kolegi?”. Ale tak naprawdę wiedziałem, że tak być musiało.

Na mistrzostwa świata do Budapesztu zabrałem ze sobą srebrny medal z wizerunkiem Papieża, przeznaczony dla zaprzyjaźnionego działacza kick-boxingu RFN, jako rewanż. Traf chciał, że z medalikiem w ręku obserwowałem trening ślicznej Włoszki przygotowującej się do startu w semi-kontakcie. Jako esteta i miłośnik piękna nie mogłem nie uśmiechnąć się do tak atrakcyjnej dziewczyny: „Ty będziesz campiona di mondo” – rzuciłem w uśmieszku. Włoszka wyjęła mi z ręki medalik, odwzajemniła promienny uśmiech, pocałowała w policzek i uciekła. Parę godzin później, już jako wicemistrzyni świata pojawiła się na bankiecie. Dostępu do niej bronił jednak zwarty klan Sycylijskich. O wspólnym tańcu nie było nawet mowy. Przypomnę, że od tej pory stałem się zimnym empirystą i nie wierzę w najkorzystniejsze nawet zapowiedzi.

A jednak, gdyby mi ktoś dziś powiedział, że udane mistrzostwo Europy, a potem krajowy championat w Elblągu nie będzie zwiastował lepszej przyszłości dla kick-boxingu, rzuciłbym go ze schodów.

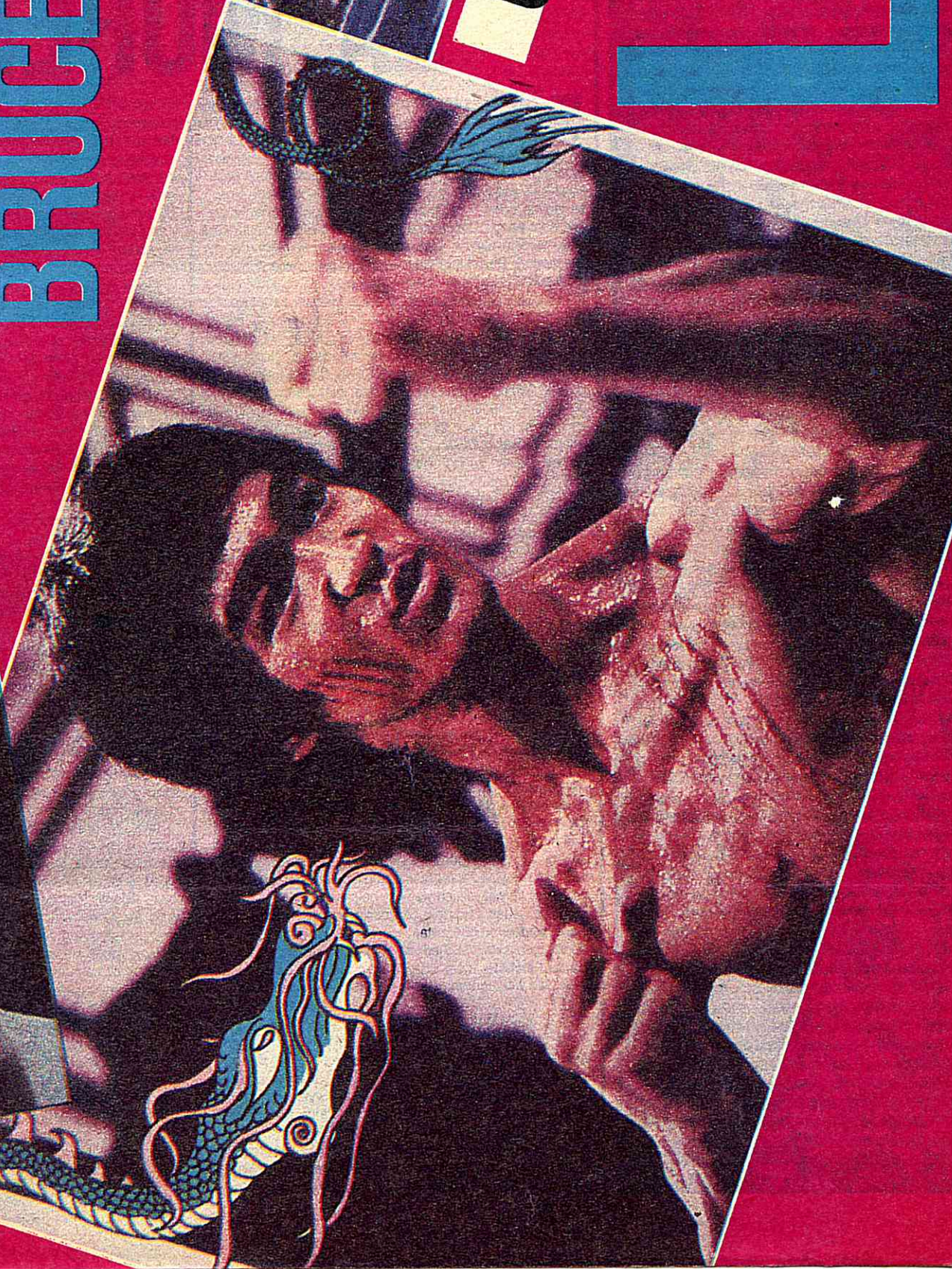
JERZEGO WĄTORSKIEGO
wysłuchał
ALEKSANDER BILIK



BRUCE

budo

THE



Prezentujemy style

Taijiquan

Styl Taijiquan (Boks Wielkiego Szczytu) należy do grupy stylów wewnętrznych chińskiej sztuki walki kung fu/wu shu. Style wewnętrzne (Nei Jia) charakteryzują się dominującą rolą energii wewnętrznej Qi w treningu i walce. Oparte są na zasadach taoizmu, zawartych w głównych traktatach tej filozofii: „Yijing” („Księga Przemian”) oraz „Daodejing” („Księgi drogi i cnoty”). Taijiquan wykorzystuje zasadę pierwiastków Yin i Yang, których ciągłe zmaganie i uzupełnianie się nawzajem, a więc nieustający cykl przemian – stanowi zasadę Tao – najważniejszego prawa przyrody, prawa działania Wszechświata. Praktykujący style wewnętrzne powinni więc dostosować się do tego prawa. Naturalne i spontaniczne życie, brak przeciwstawiania się odwiecznym regułom natury, wyciska także piętno na treningu sztuki walki. Legendarnym prekursorem Taiji był żyjący w XIII w.n.e. (dynastia Sung) taoistyczny mnich Zhang Sanfeng. Praktykował kung fu w klasztorze w górach Wudang (prowincja Hebei). Uznaje się go za autora dzieła „Taijiquan jing”, w którym zawarł główne zasady generowania siły w tym stylu: „Ruch powinien być zakorzeniony w stopach, wywołany przez nogi, kontrolowany przez talie i manifestowany przez palce”. Bardziej udokumentowana wersja rodu wodu Taiji pochodzi z XVII w. W prowincji Henan (znanej ze słynnego klasztoru Shaolin) zamieszkiwała rodzina Chen. Należący do jej dziewiątego pokolenia Chen Wangting stał się kluczową postacią w rozwoju stylów wewnętrznych. Styl Chen, posiadający najdłuższą historię, do dzisiaj egzystuje w Chinach i jest bardzo popularny, a jego mekka jest wioska Chenjiagou w prowincji Henan. Przez długi okres sztuka walki rodziny Chen była znana tylko w tej prowincji. W XVIII w. rozprzestrzeniła się na całe Państwo Środka, następnie powstały szkoły. Najbardziej znane obecnie to: Chen, Yang, Hao, Wu, Sun.

Ponieważ wszystkie szkoły wywodzą się z jednego pnia, można mówić o głównych zasadach Taijiquan, wspólnych dla wszystkich odmian: ciało jest naturalnie zrelaksowane, ruchy są płynne i skoordynowane; oddech głęboki, przeponowy, bez przerw; umysł skoncentrowany, czujny, ale wolny od emocji, spokojny; użycie siły wewnętrznej (jing) bardziej, niż zewnętrznej (li).

Taijiquan ma także szeroki aspekt zdrowotny. W takiej formie propagowany jest zwłaszcza w Azji przez Azjatycką Federację Wu Shu i Chińskie Stowarzyszenie Wu Shu. Niezaprzeczalne osiągnięcia Chinczyków w tradycyjnej medycynie, akupunkturze i akupresurze oraz innych metodach poprawiania zdrowia i przedłużenia życia spowodowały rozprzestrzenienie się systemów szkolenia nie tylko w Europie i USA, ale także i w naszym kraju. Aktualnie działają następujące główne ośrodki zrzeszone w Krajowej Radzie Instruktorów Kung Fu/Wu Shu: TKKF „Stadion” Warszawa (Yang Taijiquan, Qi Gong), TKKF „Olszyna Grochowska” Warszawa (Baguazhang), TKKF „Antena” Kraków (Chen Taijiquan), TKKF „Chuan Shu” Tychy (Yang Taijiquan, Qi Gong).

Polscy instruktorzy szkolili się między innymi w ChRL. Dużą pomoc okazali zagraniczni mistrzowie przebywający w Polsce: dr Jwing Ming z USA, Gaspar Lopez z Hiszpanii, Zhang Shan i Zhang Zheng z ChRL.

Taijiquan, oprócz sztuki realnej samoobrony, czy gimnastyki zdrowotnej posiada również formę rywalizacji sportowej, polegającej na bezpiecznej kontaktowej walce na ręce tzw. Tui Shou (pchające dłoń), gdzie zadaniem przeciwników jest wytrącanie się nawzajem z równowagi poprzez stosowanie takich technik jak: peng (odparowanie), lu (cofnięcie), ji (naciśnięcie), an (pchnięcie). Miara popularności tej formy aktywności ruchowej jest fakt, że większość ludzi z ponad miliardowej populacji ChRL uprawia Taijiquan, najczęściej w wersji zdrowotnej.

ANDRZEJ BRAKSAL



Zdjęcie ARCHIWUM

Przy okazji zawodów można było zwiedzić słynny Wielki Mur i przekonać się jak się tam walczy. Na pierwszym planie Marek Piechotka (od lewej) i Tomasz Czachowski.

ZA MUREM

P przed 10 laty na warszawskim bazarze, słynnym Wolu-menie, można było kupić wiele ciekawych rzeczy. **Dr Sławomir Milczarek**, specjalista w zakresie techniki komputerowej, znalazł frapującą książkę. Nie było w niej nic o komputerowych systemach, ale o... chińskiej sztuce walki. Milczarek, wtedy jeszcze student, wyciągnął uciulany grosz i za jedynie cztery i pół tysiąca złotych sprawił sobie lekturę. Lee Kom Wing z Hongkongu odstaniał w niej niektóre sekrety walki według stylu o wdzięcznej nazwie „siedmiogwiazdowa modliszka”. Dociekliwy student znalazł w książce adres mistrza z Hongkongu, więc odważnie nakreślił na kartce kilka słów i wysłał przesyłkę w daleki świat. Mistrz nie zbagatelizował problemów młodego Polaka, zachęcał do ćwiczeń, zapraszał do swojej szkoły. Myśli o dalekiej podróży były tylko w marzeniach, ale Milczarek się nie zniechęcał. Nadal korespondował i po trzech latach doczekał się nagrody. Mistrz polecił swojego ucznia Kai Uwe Pela, mieszkańca RFN, który gotów był pomóc upartemu Polakowi. Milczarek wysłał więc list nad Hongkong, Peł przysłał materiały informacyjne i film o „siedmiogwiazdowej modliszce”. Wkrótce odwiedził Polskę, w której jak się okazało znalazł wielu zwolenników chińskiej metody walki...

Mnóstwo młodych Polaków pasjonuje się tajemniczymi sposobami walk ludzi Państwa Środka. Chiński Instytut Wu-Shu dostrzegając te zainteresowania sprawił w ubiegłym roku ogromną niespodziankę. Zorganizował światowy festiwal wushu, na który zaprosił między innymi polską reprezentację: ośmiu zawodników, trenera i kierownika. Trenerskie przewodnictwo tej ekipie powierzono właśnie Sławomirowi Milczarkowi.

Po raz pierwszy polska ekipa kung-fu, złożona z członków TKKF „Stadion” i „Blyskawica” z Warszawy oraz krakowskiej „Anteny”, wyruszyła nie tylko za Wielki Mur, debiutowała w zagranicznych zawodach. Debiutanci często spotykają się z ogromnymi przeciwnościami losu. Nie inaczej było i tym razem. Zabrakło miejsc w samolotach do Pekinu i drużyna musiała podzielić się na dwie grupy. Jedna, pod wodzą sekretarza generalnego PZKarate – Daniela Lenarda skorzystała z drogi lotniczej, druga – pod okiem Milczarka udała się w podróż przez Moskwę – pociągami. Niestety nie opuszczało dzielnych podróżników. Kiedy dotarli do miasta Shen-Zhen, zawody już się rozpoczęły. Organizatorzy nie rozróżniający polskich nazwisk zaprogramowali niezwykle śmiesznie komputer, że we wszystkich wagach polską drużynę miał reprezentować jeden człowiek. Szczęście w nieszczęściu, ale w jednej wadze: do 80 kg start jeszcze nie nastąpił i ktoś z polskich przybyszów, jako jedyny, mógł wystąpić. Wybór padł na **Marka Piechotę**, który ważył wprawdzie o pięć kilogramów mniej, ale według trenerskiej sondy czuł się w najlepszej formie.

Na festiwal, w którego drugiej części odbywał się turniej zjechało wielu uczestników z krajów europejskich. Walki zaprogramowano w siedmiu wagach. Stos mat, tworzących podest o wysokości 60 cm, wyznaczał pole o wymiarach 8 x 8 m. Arena walki swoim wyglądem nawiązywała do tradycji kung-fu. Le-tai – walka na śmierć i życie, oto zasada, która obowiązywała na podobnych arenach przed wiekami. Nieszczęśliwie, który dał się wtedy zepchnąć z podestu spadał na okalające, zaostrome drzewce. Teraz zniknęły ostrza. Widowisko śmier-

ci przemieniło się w widowisko sportowe. Ale zapamiętano, że heros triumfuje na arenie. Według sportowych reguł, spadający z podestu automatycznie przegrywał rundę. Walkę oceniano po każdej dwuminutowej rundzie. Po dwóch niepowodzeniach trzeciej próby już nie było. Zawodnicy zakładali kaski ochronne, wciągali rękawice bokserские, ochraniacze na ciało i golenie. Duża dowolność.

W podobny, dowolny sposób walczyli. Wszystko dozwolone: uderzenia, podcięcia, rzuty, wypchnięcia. Zabraniano uderzeń łokciami, kolanami i głową. Kto lepszy, niech pokaże!

Marek Piechotka w pierwszej polycyce spotkał się z Włochem Chino. Milczarek ocenia ten występ następująco: „Pierwszą rundę przegrał nieznacznie, w drugiej prowadząc popełnił błąd taktyczny, dał się wypchnąć poza matę. W następnej walce miał się zmierzyć ze Szwajcarem, ale przegapiliśmy chwilę porannej wagi i konsekwencje były już znane. Ostatecznie sklasyfikowano go na 6 miejscu.”

Najbardziej oczarowali gospodarze imprezy. „Robili z ludźmi co chcieli” – ocenia Milczarek. Chińczycy w pierwszych swoich walkach dążyli do zwycięstw najmniejszym nakładem sił. Ich przebiegła taktyka polegała na złapaniu rywala, wykonaniu rzutu, podcięciu (wysoko punktowanego), albo wypchnięciu poza matę.

Dopiero w finałach pokazali wielką klasę: ogromną gamę technik nożnych i ręcznych. Milczarek patrzył jak urzeczony i analizował. Doszedł do wniosku, że walki w wykonaniu Chińczyków są bardziej zbliżone do realnych. Mało korzystają z technik obrotowych, posiadają cechę, która imponowała wszystkim uczestnikom festiwalu: niesamowitą odporność na ciosy. Zdarzały się sytuacje, w których Chińczycy w czasie walki inkasowali potężne ciosy na twarz. I nic! Żadnego skutku! Przyjmowali razy i uśmiechali się jakby krzywdę próbowała wyrządzić mucha. Europejczycy przywykli do innych reakcji: bardzo się depymowali widząc, że ich ciosy są mało skuteczne. „W przyjacielskiej atmosferze na bankiecie – zwierza się Milczarek – sprawdzaliśmy siłę mięśni jednego z chińskich zwycięzców. Coś niesamowitego. Były tak twarde jak kłock drewna. W czasie walki przypominają oni trochę tajskich bokserów. Przed nimy się nie cofają, idą do przodu, oberwą i oberwą, ale prą...”

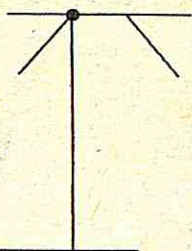
Polscy reprezentanci uprawiający kung-fu szeroko otwierali oczy. Dotąd mozolnie uczyli się w małych salkach dalekich ciekawych metod walki. Tutaj – w ChRL – na własne oczy zobaczyli co potrafią inni. Wniosek wypływał jeden: prezentowane style wushu są bardzo zbliżone do realnej walki, są wygodne w praktyce.

Polacy jadąc do Chin, ojczysty kung-fu, obawiali się, że dostrzegając doskonałe opanowanie technik walki tutejszych sportowców, nabędą kompleksów. „Zdziwiliśmy się” – stwierdza Milczarek. „Właśnie tam kompleksów się wyzbyliśmy. Panuje błędne przekonanie, że każdy żółty człowiek potrafi tyle, co Bruce Lee. Bzdura! Przeciwny Chińczyk wie co to jest wushu, ale doskonałość osiągnęli tylko nieliczni. My, ze swoim średnim poziomem umiejętności, nie mamy się czego wstydić. Bardzo dobrze opanowali, jak pokazali, style wushu niektórzy Europejczycy – Francuzi, Włosi.”

Milczarek przeliczył, że chińska wyprawa kosztowała go około 600 tysięcy złotych. Drogo, ale dzięki niej zobaczył i nauczył się tyle, iż nie szkoda żadnych pieniędzy...

平安初段

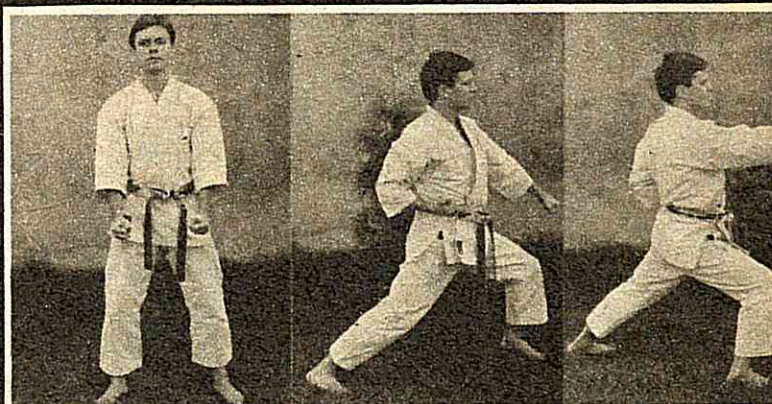
HEIAN SHODAN



ENBUSEN

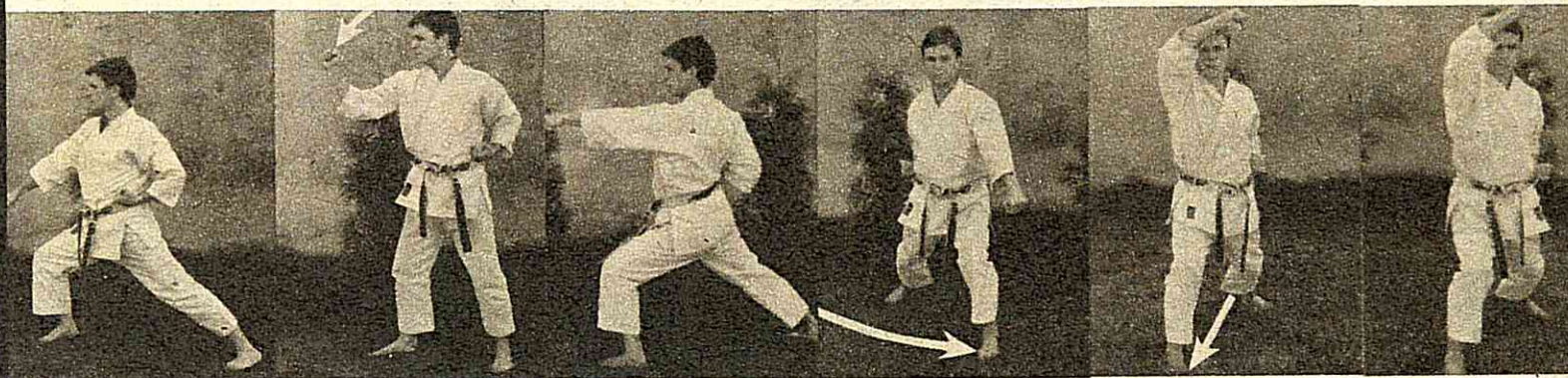
KARATE KATA

Demonstruje
WŁODZIMIERZ KWIECIŃSKI (4. dan)



1

2



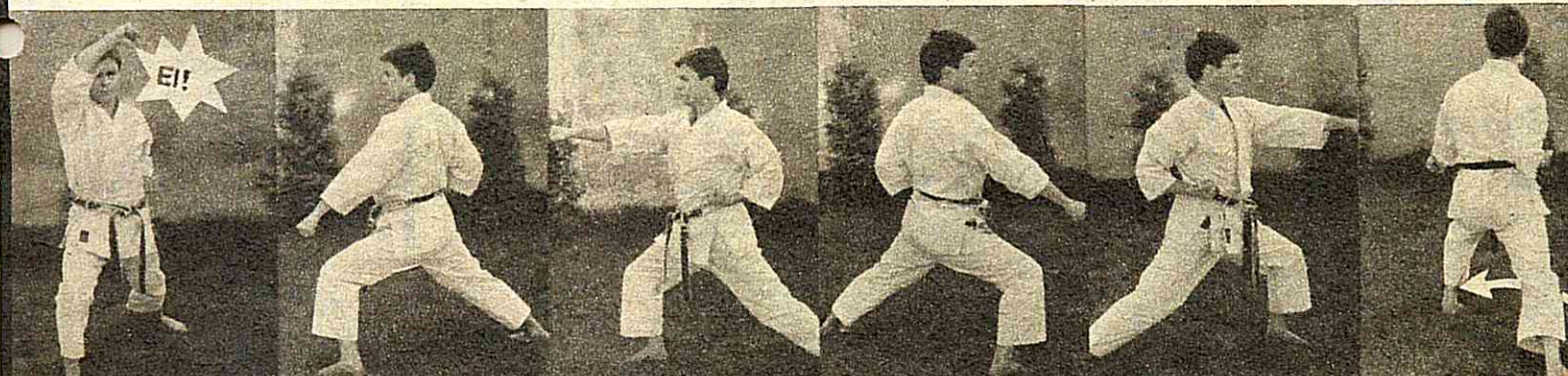
4

5

6

7

8



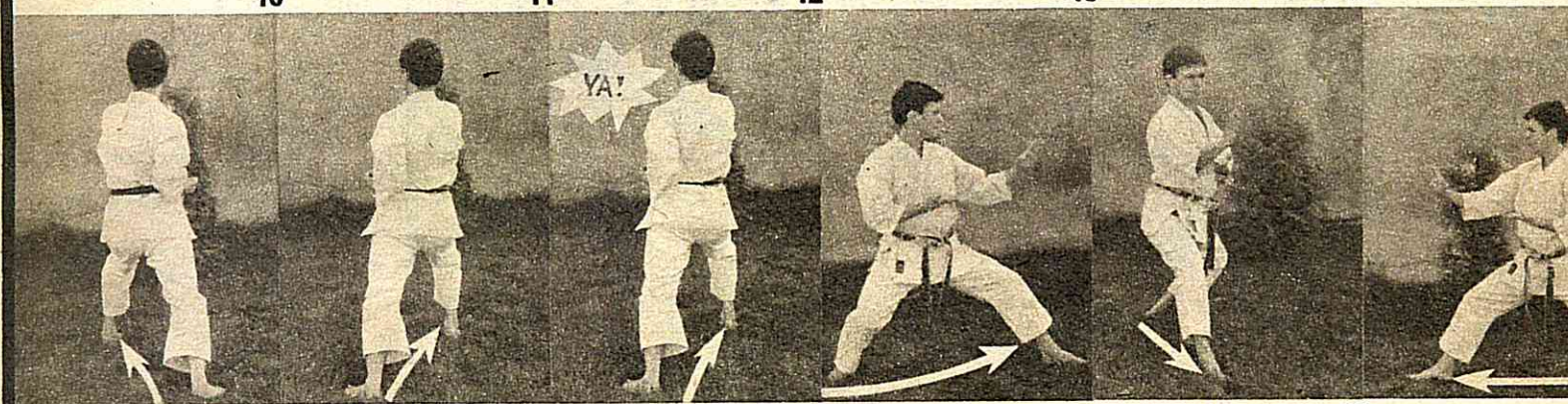
10

11

12

13

14



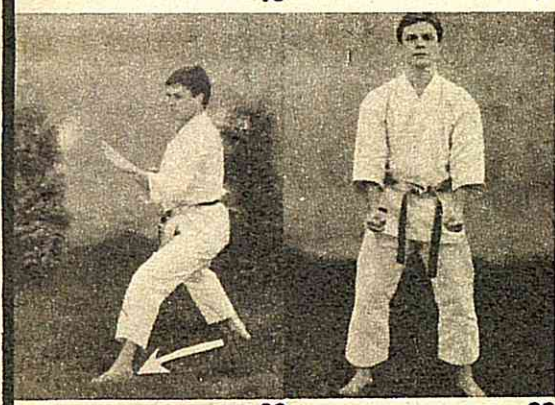
16

17

18

19

20



22

23

1. Yoi 2. Zenkutsu dachi hidari gedan barai, 3. Zenkutsu dachi migi chudan oi zuki, 4. Zenkutsu dachi migi gedan barai, 5. Migi shizentai tetsui uchi, 6. Zenkutsu dachi hidari chudan oi zuki, 7. Zenkutsu dachi hidari gedan barai, 8. Zenkutsu dachi migi jodan age uke, 9. Zenkutsu dachi hidari jodan age uke, 10. Zenkutsu dachi migi jodan age uke kiai, 11. Zenkutsu dachi hidari gedan barai, 12. Zenkutsu dachi migi chudan oi zuki, 13. Zenkutsu dachi migi gedan barai, 14. Zenkutsu dachi hidari oi zuki, 15. Zenkutsu dachi hidari gedan barai, 16. Zenkutsu dachi hidari chudan oi zuki, 17. Zenkutsu dachi migi chudan oi zuki, 18. Zenkutsu dachi migi chudan oi zuki kiai, 19. Kokutsu dachi hidari chudan shuto uke, 20. Kokutsu dachi migi chudan shuto uke, 21. Kokutsu dachi migi chudan shuto uke, 22. Kokutsu dachi hidari chudan shuto uke, 23. Yame

Zdjęcia: KAZIMIERZ LASKOWICZ

Dziewczeta również lubią karate. Na zdjęciach Liliana Kruszyńska z trenerem Józefem Sikorą.

WE DWOJE

„Na treningu staram się ją zgłębić” mówi otwarcie LESZEK STACHEWICZ o swojej żonie MIROSLAWIE. Czasem walcymy ze sobą i jest to walka twarda, nie na żarty! Ona rozumie, że w dojo nie ma pobjażeń. Ale o zajęciach kochamy się jak mąż z żoną.

Mirka, przyszłego męża poznała w karate. Chciała uprawiać judo, ale koleżanki w Rumii zapalały właśnie miłością do karate. Więc wzięła tenisówki i poszła za nimi. Zajęcia prowadził niepozorny chłopak. Ucieszył się, przyjął i tak się zaczęło. Dziewczeta szybko się przekonały, że w ćwiczeniach bra-

kuje podziału na płęć słabszą i mocniejszą. Wszyscy na równi są karatekami...

Liliana Kruszyńska obejrzała wiele filmów z groźnymi scenami napadów. Pod ich wpływem nabrała ochoty na ćwiczenia w zakresie samoobrony. Pomyślała, że jak się nauczy sprytnych chwytów, wtedy już nikt jej nie „podskoczy”. I w tej karateckiej sali również poznała przypadkowo chłopaka – Sławka Piłata, o którym mówi, że sympatyzują.

Rodzinnie powierzono misję przekazywania życia. Mirka Stachewicz urodziła dziecko, przestała przychodzić do dojo. Nikt się wtedy nie dziwi, że matce już nie w głowie yamazuki i inne japońskie ćwiczenia. Wystarczy jej przecież przepierka pieluch. Ale po roku Mirka wróciła do sali jakby nigdy nic.

„Po pierwszym w życiu treningu niemal się wyczołgałam z sali. Zakwasy odczuwałam przez trzy dni. Ale to łatwy okres w porówna-

niu z tym, gdy wraca się po urodzeniu. Kondycja już gorsza. Wszyscy, którzy przedtem byli młodszy stopniem, nauczyli się wiele nowego i prześcignęli. Po pierwszym treningu znów mi jednak wróciła ochota do ćwiczeń. Wróciłam do znajomego grona, do przyjaciół, z którymi można się pośmiać, porozmawiać. Z dala od tej naszej karateckiej atmosfery trudno było mi nagle żyć...”

Liliana na pierwszych zajęciach według szkoły Funakoshiego w Orkanie Rumia straciła półtora kilograma wagi. Opuszczała salę przerażona, bo tak surowej dyscypliny i ciężkiej pracy nie widziała jeszcze w życiu. Wielu chłopców natychmiast zrezygnowało z następnych nauk. Ona też rozważała w domu: „iść nie iść?”. Trochę się bała, jak to kobieta. Nie potrafiła na przykład wykonać pompki. Ale na sali strach przed wyśmianiem uczynił cuda – „pompowala” jak stara...

„Po pewnym czasie nie mogłam się już doczekać kolejnych zajęć. Zaprzyjaźniłam się z wieloma ludźmi, zapanowała bardzo miła, fajna atmosfera. Ta grupa przyciągała jak

magnes, no i ćwicząc dostrzegłam też same plusy: lepszą kondycję, większą sprawność, nauczyłam się szanować czas. Poznałam, że karate to nie tylko technika, ale również wychowanie, ciekawy sposób życia.”

„Dziewczyny uprawiające karate są inne, chyba lepsze” – dowodzi Stachewicz, a jej koleżanka klubowa Kruszyńska uzasadnia tezę według sportowych racji. „Z innymi można porozmawiać o robotkach na drutach, o jeździe figurowej albo o dyskotekach. Dziewczyny w kimonach mają wspólny temat: dyskutujemy fachowo, wytkamy sobie błędy, klub przypomina zgraną rodzinę...”

Jak twierdzą dziewczyny w kimonach, młode matki uprawiające karate nie należą do rzadkości. „Macierzyństwo dla kobiety doskonalącej się w karate to zwykła przerwa, drobna zmiana organizacji czasu” – mówi Mirka, która całkiem niedawno przekonywała jeszcze swoich rodziców, że dalekowschodni sport nie przyniesie uszczerbku jej dziewczęcej urodzie. Kiedy jednak pokazała się w domu z podbitym okiem, lamentu i żalu, że „kiedyś cię zabiją dziewczyno” było co nie-miara.

„Nie można się pozbyć pewnego strachu o zęby” – wyjawia Liliana – „ale w sumie tylko raz doznałam wstrząśnienia mózgu”. Natychmiast jednak wyjaśnia, że wypadek nie zdarzył się w związku z ćwiczeniami karate, ale ... z grą w piłkę nożną. W podobnej sytuacji na polu między bramkami znalazła się pewnego razu Mirka, więc obie śmieją się, że futbol jest chyba groźniejszy dla dziewcząt niż sport walki – karate.

Nie sposób wyobrazić sobie karate bez walki, jeszcze trudniej – bijące się, piękne dziewczęta. „Jak mam walczyć, odczuwam strach” – przyznaje Liliana, studentka Uniwersytetu Gdańskiego – ale chcę i muszę walczyć. Na treningu nie lubię sprawdzać się z dziewczętami. Przypomina to trochę zabawę. Wolę już walczyć z chłopakami.”

Do strachu przyznaje się również Mirka Stachewicz, wicemistrzyni Polski w kumite w 1987 roku. „Z partnerką inaczej się walczy na zawodach, inaczej na treningu. Ćwicząc – jak powiesz, tak będzie. Co innego zawody...”

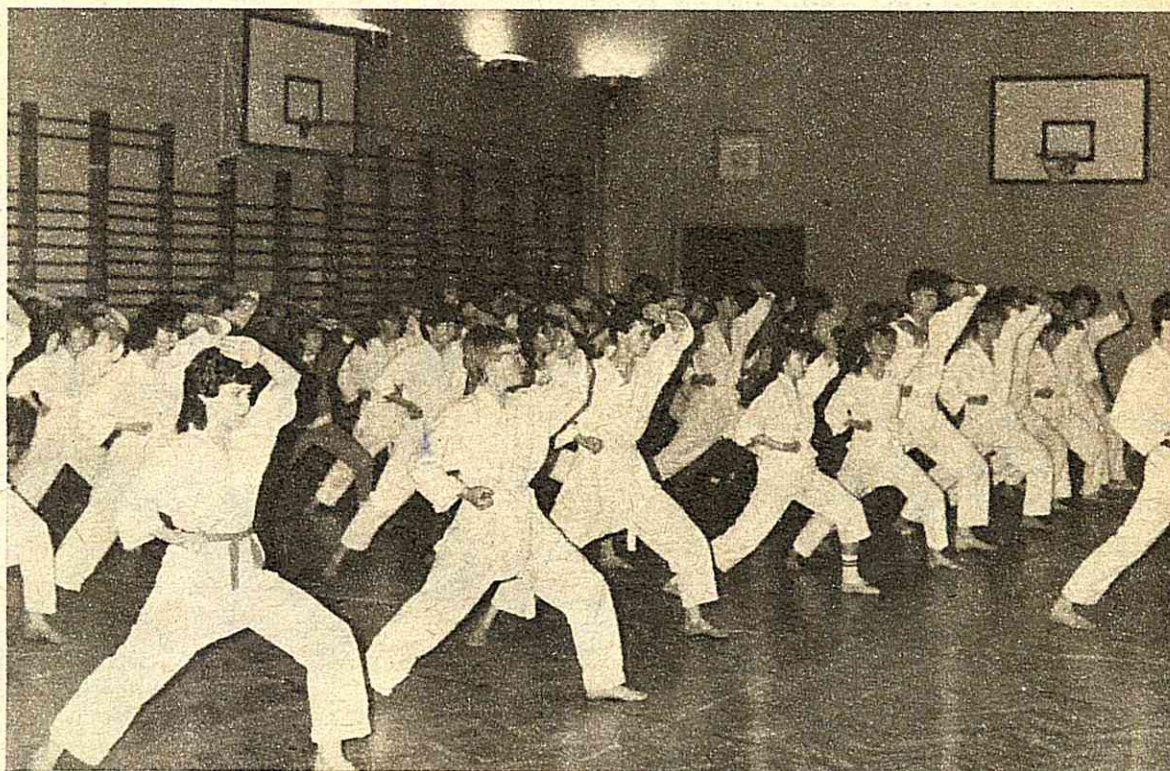
Mąż Mirki jawia, że na treningu ogromnie lubi z nią walczyć. Ale żona ucina jego dalsze wyznania: „A ja z tobą nie lubię walczyć!”

Liliana Kruszyńska, również zdobywczyni medalu w mistrzostwach Polski, mówi, że jej ochota do walki zależy od nastroju. Czasem stanie, jak w prawdziwym kumite, naprzeciw swojej sympalii, czasem unika tej próby. „Bo my poza tym – dodaje – jesteśmy zwykłymi dziewczynami, które i popłaczą i ból w sercu ukryją uśmiechem na twarzy”.

JANUSZ ZANTYR

„Oesh!” – okrzyki wyrażające zrozumienie i gotowość wykonywania polecanych ćwiczeń rozlegają się gromko aż poza salę. Za dużymi oknami, z ciemności nieśmiało chłopcy ukradkiem spoglądają do wnętrza szkolnej sali, gdzie na parkiecie zebrała się setka ćwiczących. Oto jeden z łębarskich zimowych wieczorów...

Łębarski Klub Karate nie ma wielkiej renomy, ani sławy. Przypomina klub, jakich w Polsce wiele. Przeciwny, chociaż młody. Karate zawitało do tego niewielkiego miasteczka w Słupskim dzięki oczywiście entuzjastom. Chłopcy z Technikum



Zdjęcia: ANDRZEJ KLIME

NASZE DOJO



Mechanicznego – Witek Gleske, Kazik Zarach zafascynowali się tym sposobem walki i zaczęli ćwiczyć jako samoucy. Udało się im wreszcie ściągnąć z Gdynińskiego Klubu Karate Mirka Elwarta, który udzielił pierwszych instruktaży. Chłopcy im więcej poznawali, lubili ten sport jeszcze mocniej. Niektórzy nie czekając z założonymi rękami, wsiadali w pociąg i jechali, dwa-trzy razy w tygodniu, te 60 kilometrów do Gdyni, gdzie funkcjonował już prawdziwy kombinat karate. Tam też zdobywali pierwsze stopnie wtaimniczenia, poznali letni obóz. Później łębarskim chłopcom służył pomocą znany na Wybrzeżu sensei – Józef Sikora.

Młodzi karatecy ćwiczyli najpierw „na dziko”. Dzięki życzliwości władz szkolnych mogli korzystać z sali. Następnie przy miejscowym TKKF udało im się założyć prawdziwą sekcję. W lecie ubiegłego roku dopięli swego. Po dwóch latach wyrwałych starań utworzyli z sekcji samodzielny klub. Obecnie jest już tutaj dojo z prawdziwego zdarzenia. Zaję-

cia odbywają się codziennie, w trzech grupach w zależności od stopnia zaawansowania. Gleske i Zarach przekazują zdobytą wiedzę wszystkim chętnym, których zbiera się na szkolny parkiet coraz więcej. Żaden łębarski klub w sportach tradycyjnych i uznany nie cieszy się tak wielką popularnością jak klub karate.

Co cztery miesiące, po egzaminach uczniowskich, ogłaszają nowy nabór. Mnóstwo dziewcząt i chłopców pragnie poznać sztuki Funakoshiego. Rok temu zorganizowali pierwszy sportowy obóz: w harcerskiej starycy w Szklanej Hucie nad morzem. Nie obchodzi nikomu olimpijskich laurów, przekonani, że propagowany przez nich sport jest sposobem na życie, pewną ucieczką od szarej codzienności, możliwością wyzicia się, relaksu.

Klub nie ma sponsora, ani bogatego właściciela, ale pozyskał życzliwych, dobrych przyjaciół. Żyje dzięki skromnym pięćsetzłowym składkom swoich członków. W zimie dojo w sali technikum, przypomina lodówkę. Ćwiczących nie stać na zakup węgla, na opłacenie pracy palacza. Hartują się więc sposobem naturalnym. I żartują, że wzmocnieni ponadto naukami karate, nigdy nie złamią się na zimno...

TROCHE INACZEJ

Gichin Funakoshi twierdził, że karate jest tylko jedno i bronił je przed klasyfikowaniem na style. Gdy pewnego razu jeden z uczniów powiedział, że ćwiczy shotokan, mistrz zrobił srogą minę i rozgniewany odparł: „ćwiczysz karate i nic innego”.

Pragnienie ojca shotokanu nie zostało jednak spełnione. Karate powędrowało w świat w postaci wielu stylów, odmian i szkół. Chcąc znaleźć najlepszą formę sportową, próbowano stworzyć regulaminy, i tak powstały przepisy WUKO. Karatecy z shotokanu najczęściej występują w zawodach według reguł WUKO. Czasem jednak pragną także podkreślić swój stylowy rodowód i organizują specjalne mistrzostwa kraju w shotokanie, aby odróżnić ich od mistrzostw Polski

WUKO. W dniach 10–11 grudnia odbyła się w Łodzi już druga impreza tego typu. 184 zawodników z 27 klubów wystartowało w mistrzostwach Polski w karate w stylu shotokan. Zgodnie z wewnętrzną regułą nie rywalizowano w poszczególnych wagach, a tylko w turnieju open i kumite drużynowym oraz kata (indywidualnie i drużynowo).

Jak oceniono poziom imprezy nie mógł oczarować. Obok nielicznych już wyjadaczy, stanęła w szranki młodzież o wyraźnie mniejszych umiejętnościach. Dopiero w finałowych potyczkach wykazano, że coś tam nasi „uczniowie” potrafią. Nie zanotowano większych niespodzianek, aczkolwiek nieobecność w gronie zwycięzców takich karatek jak Apolinarz czy Babicz można uznać za zaskoczenie.

WYNIKI

KOBIETY: kata – indywidualnie: 1. Katarzyna Prasala (AKK Szczecin), 2. Liliana Kruszyńska (Orkan Rumia), 3. Beata Dziergwa (Łódzki KK); drużynowo: 1. Geoka Szczecin, 2. AKK Szczecin, 3. Orkan Rumia; kumite: 1. Dziergwa, 2. Katarzyna Kozłowska (AKK Szczecin), 3. Monika Pacuszek (AZS Wrocław), Marcelina Dziubek (Atan Bielsko).

MĘŻCZYŹNI: kata – indywidualnie: 1. Marek Kleibasz (AKK Szczecin), 2. Maurycy Wawrzyniak (Poznański KK), Jan Zamojcin (AZS Olsztyn); drużynowo: 1. AKK Szczecin, 2. KK Gdynia, 3. Chemik Police; kumite – indywidualnie: 1. Dariusz Nizioł (Zarzewie Prudnik), 2. Andrzej Maciejewski (Znicz Biłgoraj), 3. Mirosław Kaziński (AZS Wrocław), Zbigniew Cydzik (AKK Gdynia). Drużynowo: 1. AZS Wrocław, 2. AKK Szczecin, 3. Gdański KK, Zarzewie Prudnik.

W połowie grudnia obradował X Kongres Polskiego Związku Judo. Sumował on czteroletni okres pełnej „prosperity” w tej trudnej dyscyplinie sportu.

O tym co Polacy wywalczyli pomiędzy „turniejem na Bemowie”, a olimpijską matą w Seulu nie ma już potrzeby wspominać. Poza tytułem mistrza świata sięgnęliśmy po wszystkie możliwe do zdobycia trofea, a judo okazało się nagle solidną lokomotywą w pociągu KMiKF. Waldek Legień został najlepszym sportowcem w tradycyjnym Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”, lukier łat się na judoków niczym na pączki u Bliklego. **Dlatego pewnym dysonansem, dla osób postronnych, były dwudniowe ważne obrady judockiego środowiska.**

Stary zarząd został wycięty w pień przez delegatów (ostali się się tylko Kazimierz Jaremczak, Tadeusz Naskręt i Jan Śla-

lekcia) także. Dlaczego więc przegrał Waldemar Sikorski i jego grupa?

Sądzę, że nie dostrzegł on w porę, iż cała struktura PZJudo opiera się na silnych osobowościach trenerskich, że trenerzy zgrupowani w swojej Radzie i będący zwartym blokiem kongresowych delegatów nie mają przeciwwagi w rozproszonej grupie pozostałych delegatów. Zieniawa, Skubis, Wiśniewski,

PRZEWROT

To judockie zdjęcie roku 1988. Baszli Warajew leci na matę po ataku Waldemara Legienia. Tak było w półfinale turnieju olimpijskiego. Zdjęcie, dyne z judo, użęto się w poseufskim w daniu amerykańskiego maga „Sports Illustrated”.



PAŁACOWY

wski), prezesa Waldemara Sikorskiego zmuszono do wypicia kielicha goryczy, nowym sternikiem został MAREK PINTARA. Pastwiono się nad statutem związku, sprawami proceduralnymi. Dlaczego? Dlaczego ludzie, którzy kierowali centralą judo w okresie takich triumfów musieli odejść? Na to pytanie odpowiedź jest skomplikowana. O ile w ogóle owa odpowiedź może opierać się na prawdziwych przestankach. **Nigdzie bowiem nie powiedziano, że dobrzy działacze w zarządzie i dobre wyniki dyscypliny są ze sobą w jakiegokolwiek korelacji.** Znam kilka związków, którymi rozsądnie kierują inteligentni ludzie i które wloką się w ogonie polskiego sportu. Z kolei na drugim biegunie są tacy, którzy nigdzie nie powinni działać społecznie, ale o dziwo „ich” sportowcy zwożą do kraju medale za medalami...

Co jest słabą stroną naszego judo wiemy od kilku kadencji (popularyzacja, sprzęt, finanse, aktywność międzynarodowa, zaplecze, „głęboki teren”) i w tej materii jest dużo roboty dla obecnych władz. Co jest dobre (współpraca z nauką, fachowość czołowych trenerów, legion pasjonatów, umiejętna se-

Klecha, Rzepkiewicz, Dodzian nigdy nie byli posądzeni o brak ambicji. Zawsze chcieli, aby interesy ich grupy były zabezpieczone w centrali i może dlatego cztery lata temu... wybrali Sikorskiego. Sikorskiego – byłego trenera kadry, który miał zbudować związek „szkoleniowców”, a nie związek „działaczy”. Stało się jednak chyba inaczej. Nasilające się, szczególnie w ostatnich dwóch latach przepychanie (tony korespondencji, konflikty na zgrupowaniach, casus Janiszewskiego) pogłębiły tylko rozdziewiek, co całemu środowisku przyniosło raczej więcej szkód, niż pożytku.

Prezes Sikorski, który – jak i oponenci w życiu zawodowym jest także związany ze sportem judockim, również zbyt mocno wierzył w naturalny bieg wydarzeń. Mamy w polskich zwią-

kach sportowych pełną demokrację, jawność myśli i ... i ność wyborów, czyli żeby zwyciężyć należy być odpowiednio przygotowanym. Trzeba przeprowadzić swoją wyborczą kampanię, rozpisac głosy w dyskusji itp. Tak jest na każdym małym konwentyklu i tak było w grudniowe dni w sali w szawskiego „Domu Chłopa”...

Wielkie namietności, walka o władzę, wybory, kandydatura, dzielenie funkcji. To się już odbyło, chociaż – jak znam fakt pałacowa rewolucja jest raczej obojętna samym zawodnikom z których zresztą ZADEN nie był obecny w czasie obrad cirolecia. Dlaczego piszę o sprawach personalnych, chociaż co było na wstępie – są przecież generalne problemy nękie środowiska? Piszę dlatego, że satysfakcja („jest tam wynikająca z wewnętrznych kłótni działaczotrenerów jest dziennikarza satysfakcją raczej ponurą i mniemam, że obecna kadencja – choć nie wierzę w sielankę – przebiegnie i wewnętrznych burz, a o PZJudo będzie głośno wyłącznie

racji wyników jakie osiągną zawodnicy. Najtrudniejsza jest oczywiście rola prezesa Marka Pintary.

Kim jest? Przede wszystkim, mimo że jego kandydatura i ewentualny wybór jeszcze wczesną jesienią wydawała się rodem z gatunku *science-fiction* – człowiekiem znanym w środowisku. To nie te czasy, gdy sternikiem judoków był zwykły wybierany wysoki rangą przedstawiciel pionu gwardyjskiego. Pintara sportował w stołecznym Lotniku, był dwa razy mistrzem Polski juniorów, raz młodzieżowców, raz seniorów, był wicemistrzem Europy do lat 21 (1966). Od 10 lat można go było spotkać jako sędziego najważniejszych krajowych zawodów. Ma 42 lata, dwoje dzieci (syn Marcin 15) trenuje judo na Racławickiej i prywatną firmę „Pinmark” produkującą aparaturę pomiarową i zabawki. Jak na absolwenta SGPiS i byłego pracownika handlu zagranicznego to niezły wynik, a prezes ma może tę przewagę nad innymi prezesami, iż jest materialnie niezależny i nie liczy wyłącznie na dobrodziejstwo diet Centralnego Ośrodka Sportu...

Pintara nie chce robić wymuszonej rewolucji. Z założeniem, że wszystko co robił poprzedni zarząd było złe nie wchodzi w rachubę. Zmiany mogą nastąpić głównie w systemie szkolenia (makroregiony), potrzebne jest komputerowe opracowywanie danych o „siłach polskiego judo”, w podejściu do



Zdjęcie GRZEGORZ SAJDAK

Nowy prezes PZ Judo, Marek Pintara, obiecuje zmiany w stylu pracy związku...

spraw dalszego rozwijania bazy, popularyzacji i propagandy judo. Judo jest przecież w „10” wiodących dyscyplin, a 146 milionów złotych w rocznym budżecie daje wartościowe pięte miejsce wśród różnych związków.

Jednak pieniądze – przestańmy się wstydić rozmów o „szmalu” – będą na pewno ważnym tematem obecnej kadencji. Czy judo musi żyć na garnuszku centrali, czy można wypełnić sale widzami i reklamami (sponsory), uregulować sprawę imprez i tatami, wydawnictw, generalnie zabezpieczyć sprzętowe potrzeby kadry przez wyspecjalizowane firmy zachodnie. Bo do tej pory PZJudo jest jedynym związkiem (wśród czołówek), który nie ma umowy z Adidasem itp. Wreszcie, wzorem innych, centrala chce rozpocząć własną działalność gospodarczą, powołać kompetentną Radę Przyjaciół Judo, a do rozruszania przedsięwzięcia ma służyć część kapitału prezesa...

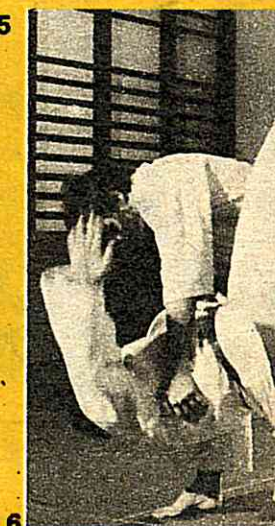
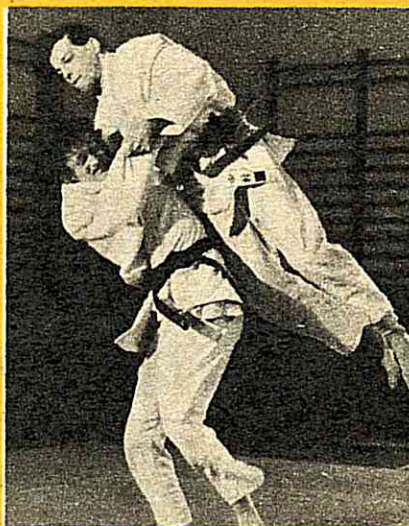
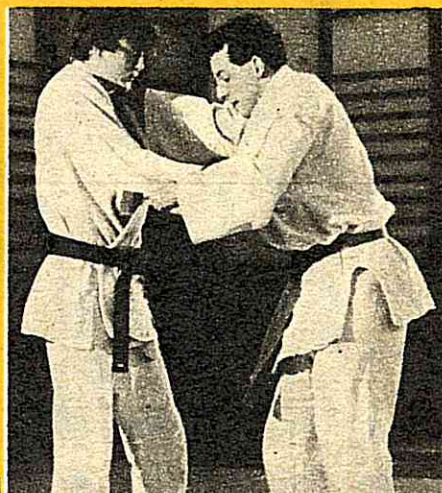
Aby zapobiec ewentualnym konfliktom trener kadry – zawodnik podjęte zostaną działania odnośnie obowiązków i praw obustronnych, zarząd ma pełnić rolę faktycznej władzy, a nie dworu prezesa, jawnie mają być rozpatrywane sprawy trenerskich stażów i kontaktów zagranicznych, obsada imprez, preferencje sędziowskie. Mają być podjęte starania o przyznanie Polsce organizacji mistrzostw świata lub Europy seniorów. Po roku powinny być pierwsze efekty. Poczekamy, zobaczymy. Pewne jest to, że Marek Pintara został prezesem w chwili, gdy medale Legienia i Pawłowskiego już rozbudziły apetyty na Barcelonę. Opuścić nie można!

JACEK KORCZAK-MLECZKO

Nowy Zarząd Polskiego Związku Judo ukonstytuował się w sposób następujący: MAREK PINTARA – prezes, ADAM RÓLCZYŃSKI – I zastępca prezesa ds. reklamy i zbytu, GABRIEL PORAWSKI – II zastępca prezesa ds. rozwoju judo młodzieżowego, RYSZARD ZIENIAWA – sprawy przygotowań olimpijskich, HENRYK KLECHA – sprawy sportowo-szkoleniowe, KAZIMIERZ JAREMCZAK – kontakty z EJU i IJF, TADEUSZ NASKREJ – sprawy sędziowskie, KORNELIUSZ KAPOLKA – sprawy dyscypliny i zmiany barw klubowych, JÓZEF WIŚNIEWSKI – sprawy sprzętowe, KAZIMIERZ JAROWICZ – kontakty z Radami Zawodniczymi, JAN ŚLAWSKI. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został ANDRZEJ MLYNAREK. Dyrektorem biura PZJudo została Krystyna Różbicka.

Kącik szkoleniowy pod redakcją WALDEMARA SIKORSKIEGO

UTSURI-GOSHI



Utsuri-goshi jest jednym z kontrataków wykonywanym najczęściej przeciw *uchi-mata*. Wymaga od wykonującego znacznej siły mięśni nóg i pasa biodrowego, jest to bowiem technika *goni-waza*, a więc biodrowa. Stosowany jest wówczas, gdy atakujący rzutem *uchi-mata* nie wykonał dokładnego *kuzushi* (wychylenia) partnera i pozostał mu możliwość odchylenia głowy do tyłu.

1. Judoka znajdujący się na zdjęciu po prawej stronie przygotowuje się do wykonania rzutu *uchi-mata* w prawą stronę.

2. Niedokładne wychylenie partnera przy wykonywaniu *uchi-mata* umożliwiło temu ostatniemu ugięcie nóg w stawach kolanowych oraz odchylenie głowy do tyłu, lekko w lewo w skos. W tej fazie rzutu ułożenie głowy *uke* decyduje o powodzeniu wykonania rzutu *uchi-mata*.

3. Zawodnik broniący się przed rzutem *uchi-mata* jeszcze bardziej ugina nogi w stawach kolanowych i odchyła głowę do tyłu, aby uzyskać stabilną postawę. Chwytając lewą ręką (niewidoczną na zdjęciu) za pas, przeciwstawia się jednocześnie siłą mięśni swego karku, siłę prawej

ręki *tori*, próbującego wykonać *uchi-mata*.

4. Judoka broniący się przed rzutem *uchi-mata*, przez wyprost nóg i lekkie odchylenie tułowia do tyłu, „podbija” swoimi biodrami partnera unosząc go jednocześnie przy pomocy rąk do góry. W ten sposób *tori* traci kontakt z podłożem.

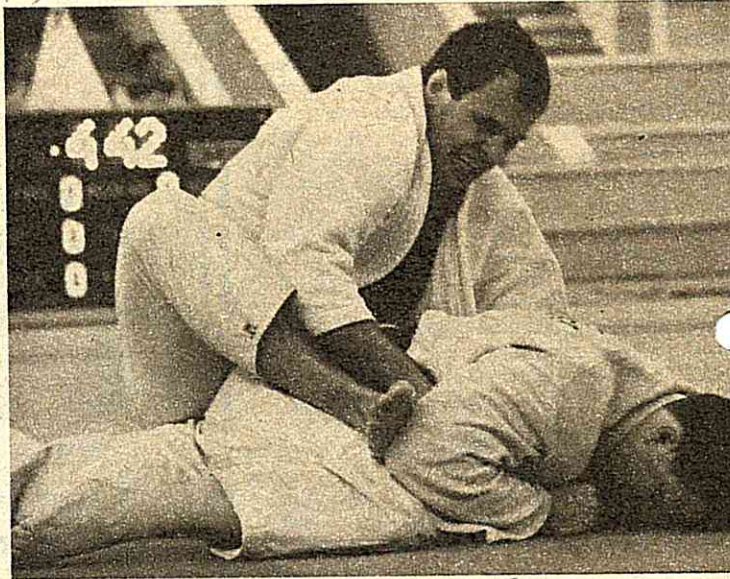
5. Po podrzuceniu partnera w górę, *tori* przenosi ciężar ciała na nogę prawą, co umożliwia mu

wykonanie lewą nogą kroku do przodu i zarzucenie partnera na biodro. Lewą ręką *tori* trzyma w dalszym ciągu przeciwnika za pas, natomiast prawą pociąga on lewą rękę *uke*, inicjując ruch skrętowy ciała.

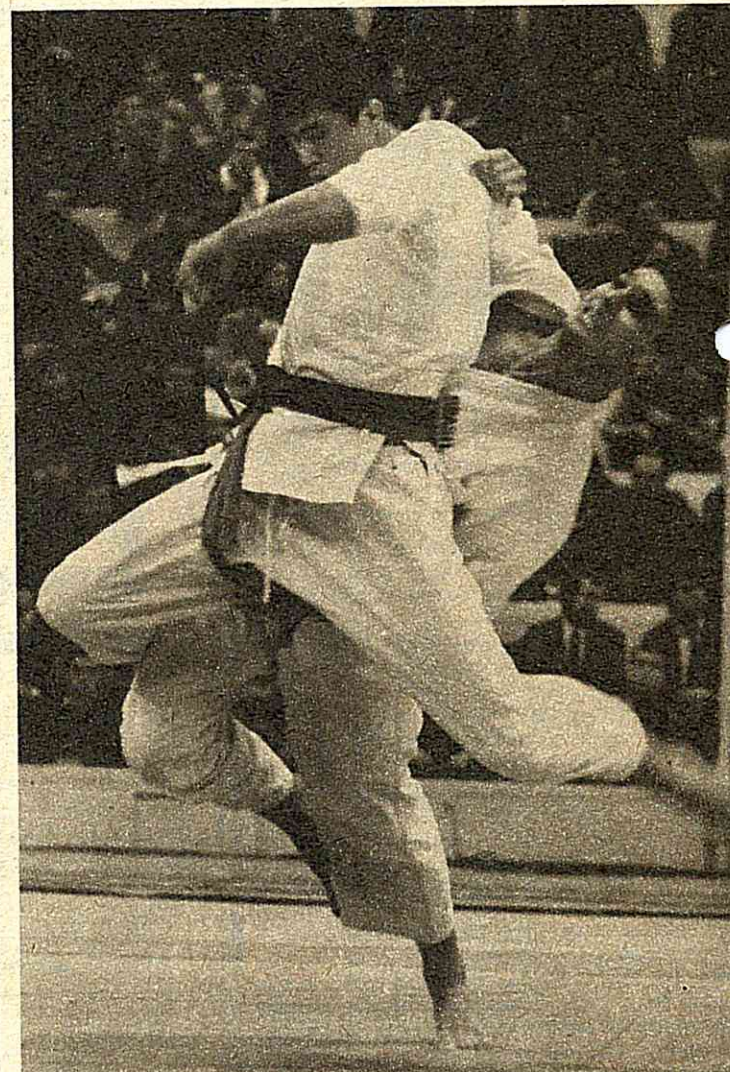
6. *Tori* wykonuje ostatnią fazę rzutu przenosząc ciężar ciała na lewą nogę, co ułatwia mu skręt ciała i rzut. Wykonując rzut kontroluje upadek *uke* swoją prawą ręką.

Zdjęcia: GRZEGORZ SAJDAK

GRZEGORZ SKRZYPCZAK był z końcem roku w Tbilisi, gdzie judocy-studenci rywalizowali na swoich akademickich mistrzostwach świata. Nas najbardziej ucieszył tytuł wicemistrzowski zdobyty przez Jacka Beutlera – to on jest bohaterem fotoreportażu – i takie same trofea – Anny Chodakowskiej oraz Marii Gontowicz. Polskie judo nadal jest na fali, chociaż eska-pada do Gruzji mogła także zaowocować złotem. Obsada turnieju była wyjątkowo silna, bo w większości krajów świata judo jest prawdziwym akademickim sportem.



AKADEMICY W TBILISI



Akademickie mistrzostwa świata w judo (17-21 grudnia 1988 – Tbilisi)

KOBIETY

48 kg: 1. Giovanna Tortora (Włochy), 2. **Anna Chodakowska (Polska)**, 3. Martine Dupont (Francja) i Birgit Friedrich (RFN).

52 kg: 1. Dominique Bernat (Francja), 2. Kong Suk Ok (Korea Płd.), 3. **Joanna Majdan (Polska)** i Joanna Ronkainen (Finlandia).

56 kg: 1. Jenny Gal (Holandia), 2. **Maria Gontowicz (Polska)**, 3. Cecile Alacan Kuba i Armeille Jeaste (Francja).

61 kg: 1. Catherine Fleury (Francja), 2. Fauke Eickhoff (RFN), 3. **Bogusława Olechnowicz (Polska)** i Gootske Marsman (Holandia).

66 kg: 1. Irina Barabulkina (ZSRR), 2. Chantal Han (Holandia), 3. In Au (Korea Płd.) i Emanuella Pierantozzi (Włochy).

72 kg: 1. Galina Niestierowa (ZSRR), 2. Lorraine Sion-

neau (Francja), 3. **Stefania Drzewiecka (Polska)** i Mi Yong Bai (Korea Płd.).

Plus 72 kg: 1. Weronika Kozłowska (ZSRR), 2. Isabel Cortabitarte (Hiszpania), 3. Emanuelle Mikula (Francja) i Gian In (ChRL).

Open: 1. Gian In (ChRL), 2. Regina Sigmund (RFN), 3. Lorraine Sionneau (Francja) i Emanuella Pierantozzi (Włochy).

MEŻCZYŹNI

60 kg: 1. Amiran Totikaszwilli (ZSRR), 2. Rafael Rennella (Włochy), 3. Sun Kuk Hon (Korea Płd.) i Battuyaga Demgambo (Mongolia).

65 kg: 1. Siergiej Kosmylin (ZSRR), 2. Peter Sedivak (CSRS), 3. Masahiko Okuma (Japonia) i Norbert Schultterer (Austria), 7. **Marek Rybicki (Polska)**.

71 kg: 1. Toshihiko Koga (Japonia), 2. Oleg Kanonierow (ZSRR), 3. Serge Caytan (Francja) i Chan Hong Kim (Korea Płd.), 5. **Krzysztof Kamiński (Polska)**.

78 kg: Hidehiko Yoshida (Japonia), 2. Guillaume Muska (Francja), 3. Flamon Pink (NRD) i Raszid Ibragimov (ZSRR).

86 kg: 1. Oleg Malcew (ZSRR), 2. Joe Venegh (USA), 3. Stefan Freudeberg (RFN) i Han Lee (Korea Płd.).

95 kg: 1. Koba Kurtanidze (ZSRR), 2. **Jacek Beutler (Polska)**, 3. Kadjiro Tobimatsu (Japonia) i Detlef Knorrec (RFN).

Plus 95 kg: 1. Nagyoa Ogawa (Japonia), 2. George Mathonnet (Francja), 3. Stefano Venturelli (Włochy) i Jochen Plate (RFN).

Open: 1. Jewgienij Pieczurow (ZSRR), 2. Kun Su Kir (Korea Płd.), 3. **Rafał Kubacki (Polska)** i Akiro Hideyusi (Japonia).

Turnieje drużynowe – kobiety: 1. Francja, 2. RFN, 3. **Polska** i ZSRR; mężczyźni: 1. ZSRR, 2. Francja, 3. NRD Korea Płd. 5. **Polska**.

PREGI

Na twarzy matki maluje się przerażenie. „Proszę pana, czy Marek coś nabroił?” – pyta zaniepokojona. „Och, mamę daj spokój” – niecierpliwie się syn. Łagodnie sytuacja: „nic się nie stało, Marek po prostu napisał list”.

Wstrzasajacy list.

Pismo zaczynało się pogodnie. Chłopak się przedstawiał, wyjawiał, że jest uczniem szkoły średniej, następnie mówił o swojej fascynacji. „Najpierw chciałem się zapisać na boks, ale trener powiedział mi, że jestem „za stary”, i że nie będzie już ze mnie zawodnika (mam 17 lat). Wtedy za namową mojego kolegi zapisałem się na taekwondo. Pierwsze treningi były wspaniałe, dostawałem wycisk, pot lał się z nas ostro. Nasz trener przychodził w dobowy z inicjałami taekwondo ITF na plecach. Bardzo mi się to podobało. Wreszcie i my otrzymaliśmy swoje dobowy i nasza sekcja wyglądała prawdziwie. Brakowało nam jeszcze tylko naszywek z naszym stylem. Wszyscy nosiliśmy białe paski włącznie z naszym trenerem i kolegami z sekcji zaawansowanej. Treningi odbywały się najpierw dwa, a potem trzy razy w tygodniu. Z niecierpliwością czekałem na każdy trening”...

W tym miejscu kończył się opis rzeczy przyjemnych. Następowała relacja z wypadków, które zbulwersowały i przyprawiły o gorzcy wielu chłopców. „Pewnego dnia trening był koszmarem” – zwierzał się Marek. „Cały czas „pompowaliśmy”, na dodatek trener wyzywał się na nas jak na makiwarach. Dwóch moich kolegów straciło przytomność. Po treningu kazano mi parę pregi na ciele po „trenerkim pasie”. Sytuacja ta zaczęła się powtarzać coraz częściej...”

Marek nie ukrywa zalu. Siedzi oto przede mną chłopak wyrosnięty, sprawny, silny – okaz zdrowia. Młodzieniec w przededniu matury, a zgorzkniały niczym zmęczony życiem starzec. Mówi, że sport, który uprawiał bardzo się jemu podobał. Marzył o osiągnięciu klasy mistrza świata – Krzysztofa Pajewskiego – którego widział w telewizji. Kiedyś gdy dowiedział się o przyjeździe koreańskich mistrzów, rzucił wszystko w ką i popędził aż do stolicy, żeby popatrzeć i żeby się nauczyć.

Cwiczył z ogromnym zapałem, wierzył w to co robił. Ślepo zaufał trenerowi. Nauczyciel sprawił jednak zawód. Promienne nadzieje się nie spełniły, poczuł się oszukany. „Trener krzyczał, że ćwiczymy źle technicznie. Kiedyś wpadł na dziwny pomysł” – zwierza się Marek. „Chodząc między rzędami ćwiczących uderzał zlnienacka pięścią w brzuch. Mój kolega nie zdążył się napreżyć, napiąć mięśni brzucha. Zatkło go, oberwał w spłot, albo w konce żeber – zemdlął. Trener się przestraszył, uderzał już słabiej, ale nie zaniechał innych mocznych metod. Cwiczyliśmy na przykład mięśnie brzucha. Leżeliśmy na plecach, jeden obok drugiego trzymając nogi pod pewnym kątem do podłogi. Trener ni stąd ni zowąd przebiegał nam po brzuchach jak po ścieżce. Trzeba było szybko przesunąć pas, bo jak ktoś nie zdążył, węzeł pod naciskiem stopy wrzynął się w ciało i mocno bolało. Zimą graliśmy czasem w hali w piłkę. Dla odróżnienia drużyn jedni ścigali górną część stroju. Nagle padała komenda, że biegniemy na dwór. Biegaliśmy boso po śniegu, ale to nic, kto nie zdążył schwycić tej górnej części, musiał ćwiczyć pół nagi. I nie było żadnych wymówek o przeziębieniu. Trener nie słuchał.”

Marek odgrzebuje z pamięci inne epizody, które utkwiły w niej niczym bolące drzazgi. Pewnego razu zdarzył się w szatni przypadek kradzieży. Jednemu z kolegów zginął dowód osobisty. Na następnym treningu instruktor postanowił ukarać całą grupę. Zastosował wariant odpowiedzialności zbiorowej. Metoda pedagogiczna miała przynieść skutek. Przez cały czas zajęć chłopcy wykonywali więc „pompki” lub „stali na kościach”. Wytrzymali, ale ocenili, że ciężko było przeżyć.

Chłopców zrażała bezwzględność z jaką postępował ich nauczyciel. Kiedyś polecił jednemu z wychowanków przywiązać do ściany makiwarę. Chłopak się strapił. Nie nosił przecież w kieszeniach drutu, czy coś podobnego. „Nie masz czym przymocować?” – rozgniewał się trener. „To wyjdź z sali i więcej mi się tu nie pokazuj!”

Hartowali charaktery, ćwiczyli wolę, ale życzliwość wobec trenera coraz bardziej przeradzała się w niechęć. Kiedy przełożony łapał uderzeniem kolanem w brzuch, kiedy stojąc w rogu sali obok przebiegających, wymierzył kopniaki „na po-

ped” – ćwiczący popadali w rozterki. Dusili gniew, znosili upokorzenie. Frustrowali się nie dlatego, że trener „to” robił, ale za to – jak. Oni oferowali swój młodzieńczy entuzjazm, solidność, poświęcenie. Pragnęli, aby ich prace ktoś ocenił, żeby zauważono ich postępy. Wiele ożywienia i zapału wniosła wiadomość o egzaminach na stopnie uczniowskie. „Trener zebrał od nas pieniądze na egzaminy, których nigdy nie było. Na nasze pytania z tym związane, odpowiadał, że na razie nie ma w Polsce Koreańczyków, którzy mogliby egzamin przeprowadzić. Mówiliśmy, że na stopnie uczniowskie mogą nas przeegzaminować także polscy instruktorzy z uprawnieniami. Niestety trener „nie mógł” nawiązać kontaktu z tymi osobami.”

Na pierwszych zajęciach przełożony wszystkim zaimponował. Słyszeli, że przeszedł dobrą szkołę. A jak pokazał kilka technik, natychmiast wprawił ich w zachwyt. Gdzieś po roku autorytet trenera zaczął upadać. Zauważyli, że nie prowadzi zajęć z pasją, odwalą robotę, przychodzi nieprzygotowany, albo jeszcze gorzej...

„Czasem czuliśmy od niego alkohol. Widzieliśmy idąc po drodze do sali, jak wychodził z „Murzynka”. Próbowaliśmy perłumować, żeby zabić zapach, ale to było widać: oczy się świeciły, zachowywał się dziwnie. Nieraz w ogóle nie przychodził. Zajęcia prowadził wtedy najstarszy stażem kolega. Trener wpadał coraz częściej „skontuzjowany”, gdyż po wypiciu lubił szukać zaczepki. Sam widziałem jak przed restauracją znokautował dwóch dryblasów. Nasza sekcja się rozsypywała, niektórzy odchodzili, ale my próbowaliśmy nadal ćwiczyć”.



Zdjęcie JERZY WEL

Pracodawcy trenera, dyrektorzy Wojewódzkiego Uniwersytetu Robotniczego są zdziwieni. Nie odbierali żadnych złych sygnałów. Nigdy nie potrzebowali interweniować. Sekcja wiodła spokojny żywot, nie mieli z nią problemów. „Cztery lata temu – mówią – przyszedł do nas pan Andrzej. Miał jakiś stopień, pokazał zaświadczenie o uprawnieniach. Nie znamy się na tym. Naszym celem jest organizacja różnych kursów doszkalających, działamy na polu oświatowym jak również rekreacyjno-sportowym. Okazja sama pchała się w ręce. Było dużo chętnych do sekcji młodzieży, więc zgodziliśmy się. Byliśmy zadowoleni, chłopcy także, bo mogli się wyżyć. Na wypadek znajdowała się w sali apteczka. Uważaliśmy, że jest to dobry kurs rozwijający zamiłowania”.

Dyrektor WUR twierdzi, że raz czy dwa, wpadł nawet na zajęcia. Wszystko w porządku, trener zaangażowany, wymagający. Szkolną salę, która wynajmowali, postanowiono jednak remontować. Po remoncie dyrektor szkoły ocenił, że „od ćwiczeń odpadają klepki”. Nie zgodził się na przedłużenie umowy. W ten sposób sekcja przestała działać. Chłopcy, jak mówi, przychodzili, dopytywali się, ale nigdzie nie udało się już wynająć innej sali...

Pana Andrzeja, trenera, mimo kilku prób nie zdołem zastać nawet w domu. Ale zona uspokoiła, że ma już nikogo nie ćwiczy. Pracuje jako elektryk, wciąż wyjeżdża, ma pełny portfel zamówień. Fachura!

Marek opowiada, że przez wiele dni chodził rozbity, nie wiedział czym się zająć. Kolega namówił, żeby przepisał się do innej sekcji. Na szczęście w mieście funkcjonuje sekcja karate kyokushinkai. Wystartował w niej od zera, jako nowicjusz. Ze zdziwieniem obserwował, że panują w niej zupełnie inne stosunki. Już na początku były badania lekarskie. Trener o wszystko się martwi i troszczy, nie pozwala na palenie papierosów, patrzy nawet na włosy. Inny świat...

Historia niby z happy endem, ale Marek wzdycha. Tak bardzo polubił swój poprzedni sport...

LECH UFEL

PS. Imiona użyte w reportażu zostały zmienione.

LISTY

Droga Redakcjo!

Nie dziwicie się treści krótkiego listu. Piszę do was prośbą, abyście podali nam poczytnego pisma z wieniem prawdziwych instruktorów. Takich, którzy mają rację, uczciwie zdobyte „papierki”, u których można w „ciepłym” ćwiczyć dalekowschodnie walki wiedząc, że ćwicząc nie stanie się krzywdą. przykre doświadczenie, odczuwając zerwanie ścięgna, dobre rzeczy zdarzały się i moim kolegom. Nie będę pisał gdzie i kiedy, bo nie chodzi.

Wiem, że w Polsce jest dużo dużo entuzjastów karate, taekwondo, kick-boxu i innych sportów. Jak zdążyłem po na własnej skórze, jest równie wielu instruktorów, którzy nie powinni nauczać. Przyszczam, że mają może pojęcie technik walki, ale brakuje podstawowej wiedzy o trenowaniu budowie człowieka. Nie powinni przygotować do ciężkiej wysiłku. Odnoszę wrażenie, że pracują na sali tylko dlatego, że jest okazja do zarobienia. list niech będzie ostrzeżeniem dla rówieśników. Jeżeli chcą ćwiczyć gdzieś w sekcji, przed przeprowadzając wywiad nie ma instruktora. Z sali, jak z sali, można też wyjść inwalid.

JAREK WIŚNIO

Mieszkam w mieście, które gdy nie było ważnym ośrodkiem judo. Tak się złożyło, że jestem miłośnikiem tej dyscypliny. Wszędzie chciałem uprawiać judo, różnych powodów nie mogłem. Dopiero w tym roku zaistniała taka możliwość. Poszedłem na trening z chęcią zapisania się do sekcji judo. Trener prowadzący oświadczył mi, że przyjmuje tylko tych, którzy nie ukończyli jeszcze VI klasy szkoły podstawowej (mam 15 lat), chodzę do I klasy szkoły średniej. Mój kolega, który chodzi do VII klasy też nie stał przyjęty. Nie wiem czy wprowadzono takie przepisy, że wolno przyjmować młodzież starszą do sekcji judo. A my sekcja nastawiona jest na przyjmowanie młodszych dzieci? Nie wiem. Ale moim zdaniem należało coś z tym zrobić.

Wraz z kolegą chodzimy do sali, by móc ćwiczyć judo. Naszym trenerem są książki, i ciki szkoleniowe itp. To nie samo, ale co zrobić?

ANDRZEJ FURMAŃCZAK

Ali w kimonie



Muhammad Ali również zmieniał rękawice. Na zdjęciu zachęca do poznawania sztuk walki w ośrodku Jhoona Rhee.

Silna Diana

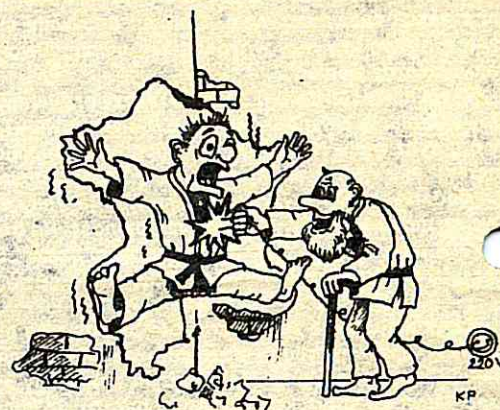
Dziewczyna na zdjęciu nie jest modelką, która reklamuje stroje kąpielowe, nie prezentuje również nowej sztuki walki. W ten zachęcający sposób pismo „Fighter” przedstawia swoim czytelnikom czołową karateczkę USA, posiadaczkę czarnego pasa Dianę Urbanas. Mistrzyni z St. Petersburga na Florydzie reprezentowała między innymi swój kraj w kick-boksie podczas mistrzostw świata WAKO w Londynie. Należy także do gwiazd telewizji kablowej, w której demonstruje techniki walki.



Zagadka

Zamiast szarady czy rebusu proponujemy trochę inną zabawę. Proszę rozwiązać tę zagadkę: czyja ręka, czyja noga?

Rys. KRZYSZTOF PANUCCI

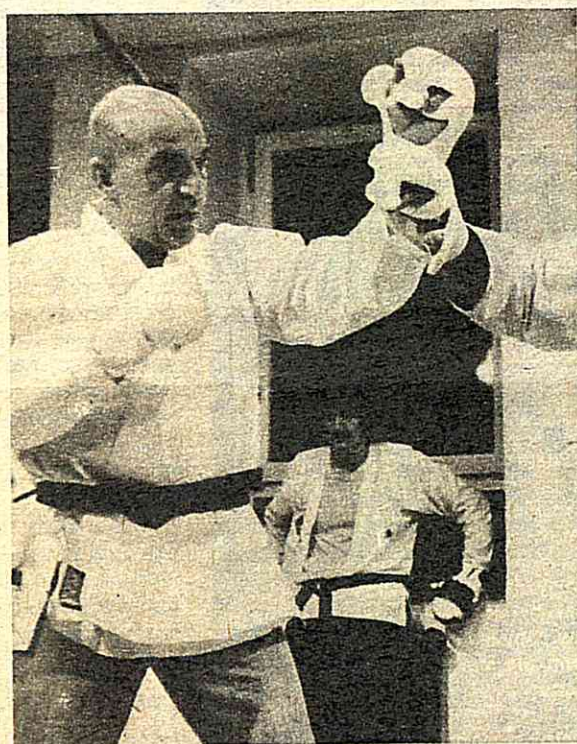


Wiele lat minęło zanim dziadek K. Fuu odkrył tajemnicę „wibrującej pięści”.

Z gwiazdozbioru

Tego pana tysego jak kolano, oglądaliśmy niedawno w telewizyjnym filmie jako łowcę skorpionów. Bardziej znamy go jako słynnego Kojaka. Wtajemnicza-

my naszych Czytelników, że Telly Savalas należy do grona gorących zwolenników i propagatorów kick-boxingu.



173 strony dla każdego!

W księgarniach są jeszcze do nabycia (ostatnie!) egzemplarze „dalekowschodniej” książki roku, jaką jest z pewnością „Budo” Waldemara Sikorskiego i Stanisława Tokarskiego. Ostrzegamy jednak nie jest to książka łatwa w odbiorze, nie jest to szkoleniowy poradnik dla fanów judo, kendo, karate i innych szlachetnych sztuk walki.

Autorzy pokusili się o zapoznanie Czytelnika z historią, ewolucją i doświadczeniami sportów mających swe korzenie w cywilizacji i kulturze Nipponu. Dlatego „Budo” jest miejscami fascynującym reportażem historycznym, filozoficznymi rozważaniami o przyczynach powstania japońskiego syndromu i jego kariery w warunkach europejskich, czy amerykańskich. Przeczytajcie tę książkę, może wtedy łatwiej będzie wam zrozumieć sport, który uprawiacie, może zrozumiecie, iż wasz wybór był trafny...

„Budo” zostało w szybkim tempie wydane przez prężny szczeciński „Glob” i jego forma edytorska także zachęca do sięgnięcia po tę pozycję. Jest jednak także i uczucie pewnego zawodu... Aż prosiło się, przy większym



nakładzie środków, pokusić o prawdziwą książkę „Budo” wzbogaconą solidnym materiałem zdjęciowym (kolor) dotyczącym zarówno „japońszczyzny”, jak i współczesnego – czysto sportowego wymiaru judo, karate, kendo, aikido. Może kiedyś doczekamy się i tego!

JKM

Co, gdzie, kiedy

Shotokan - WUKO

Drużynowy Puchar Polski, 11 - 12.03, Elbląg
Mistrzostwa Polski, 18 - 19.03 - Opole
Mistrzostwa Europy, 5 - 7.05 - Titograd
Puchar Świata, 18.06 - Budapeszt
Mistrzostwa Polski Kobiet, 11 - 12.11
Mistrzostwa Polski Shotokan, 9 - 10.12

Kyokushinkai

Puchar Polski, 25.03 - Legnica
XVI Mistrzostwa Polski, 14 - 16.04 - Rzeszów
Mistrzostwa Europy, 19 - 21.05 - Budapeszt
Ogólnopolski turniej, 30.09 - 1.10 - Konin

Taekwondo WTF

Mistrzostwa Polski, maj - Lublin
Mistrzostwa świata, 6 - 10.09 - Seul
Międzynarodowe Mistrzostwa Polski, listopad - Puławy
Puchar Polski, grudzień - Ostrowiec Świętokrzyski

Taekwondo ITF

Mistrzostwa Polski, 9 - 11.06 - Lublin
Puchar Świata, 28.06 - 8.07 - Phenian
Klubowy Puchar Europy, październik, Koszalin
Mistrzostwa Europy, grudzień - Włochy

Kendo

Drużynowe Mistrzostwa Polski, maj
Mistrzostwa Europy, 21 - 26.04 - Amsterdam

Kung-fu Wu-shu

Ogólnopolski Turniej, 15 - 6.04 - Słupsk

Ju-jitsu

Ogólnopolski Turniej, październik - Kraków

Aikido

Ogólnopolska Konsultacja szkoleniowa, czerwiec - Szczecin

Kick-boxing

Mistrzostwa Polski (semi contact), maj - Łódź
Puchar Polski (semi contact), 1.06 - Krynica
Międzynarodowy Puchar Bałtyku (full contact), 24 - 25.06 - Kołobrzeg
Mistrzostwa świata, listopad - Atlantic City
Mistrzostwa Polski (full-contact), październik - Warszawa

Dokończenie ze str. 24

BRUCE LEE

mian kung-fu, boks, japońskich systemów walki ju-jitsu, aikido, kenpo, koreańskiego taekwondo, a także karate i sztuki walki przedmiotami (m.in. nunchaku). Odrzucając bariery stylu Wing Tsun, stał się twórcą swojego własnego, oryginalnego stylu, który nazwał Jeet Kune Do (sposób przechytującej pięści). W tym swoim „stylu bez stylu” wykorzystywał elementy wszystkich poznanych przez siebie sposobów walki.

Swoje umiejętności określał tak: „Nie walczcie w żadnym określonym stylu. Nigdy nie wiesz co zrobisz i ja sam tego nie wiem. Mój ruch jest rezultatem twojego ruchu, moja technika jest efektem zastosowanej przez ciebie. Każdy może tylko wtedy funkcjonować swobodnie i pełnią możliwości, kiedy znajduje się poza stylem. Gdy powielasz style klasyczne, rozumiesz rutynę, tradycję, cienie przeszłości, ale nie rozumiesz siebie”. Przy innej okazji wyjął: „To, co robisz jest bardzo dochodowe. Żądam za dziesięć godzin nauki 500 dolarów i ludzie walą głumem. Podwajam cenę i także przychodzą. Nie miałem pojęcia jak wielu ludzi interesuje się chińską sztuką walki”.

Bardzo dobrze układało się również jego życie rodzinne. Linda urodziła mu dwoje dzieci. Był więc człowiekiem sukcesu nie tylko w amerykańskim znaczeniu tego określenia. Namówiony przez przyjaciół, wziął udział w popularnym telewizyjnym show, oglądanym przez miliony widzów. To kolejny punkt zwrotny w jego życiu. Program oglądał jeden z szefów wytwórni filmowej „Golden Harvest” z Hongkongu, który zafascynowany jego umiejętnościami i osobowością zaproponował mu wieloletni, szalenie korzystny kontrakt. Decyzja o powrocie z pewnością nie należała do najłatwiejszych. W owym czasie „Chińskie Hollywood” jak nazywano filmowe imperium braci Chow, to jeden z największych ośrodków produkcji filmów na świecie, z powodzeniem konkurujący z takimi potęgami jak Indie, USA, Włochy i Japonia. Już we wczesnych latach sześćdziesiątych produkowano tu ponad 300 filmów rocznie. W pierwszym filmie nakręconym w Hongkongu po swoim powrocie Bruce Lee zagrał od razu główną rolę. Bardzo przykładał się do pracy, ale zarówno on jak i jego producenci z pewnym niepokojem oczekiwali premiery. Od tego jak zostanie przyjęty zależało wszystko. Reakcja widzów przeszła najsmielsze marzenia. Bruce został całkowicie zaakceptowany zarówno przez publiczność jak i krytykę. Zebrał wręcz entuzjastyczne recenzje. Z dnia na dzień stał się najbardziej uwielbianym i kasowym aktorem Hongkongu. Ten jego historyczny już dzisiaj, pierwszy film nosił tytuł „Big Boss”. Nakręcił później jeszcze wiele innych m.in. „Fist of Fury” („Wściekła Pięść”) oraz „Droga Smoka”, „Pieczęć Smoka”, „Wezwijcie Smoka”, „Chiński Łącznik”, „Pięściarz z Shantungu”, „Krwawa Ucieczka”, „Bambusowa Droga”, „Mściciel”. W sumie licząc te, w których grał jako dziecko oraz te nakręcone w USA - Bruce Lee wystąpił w osiemnastu filmach. Z pewnością najlepszym, a również najbardziej znanym jest „Enter the Dragon” (Wejście Smoka) wyświetlany z ogromnym powodzeniem na ekranach naszych kin.

Czy był dobrym aktorem? Jego warsztat filmowy nie zaskakuje wyrafinowaniem, chociaż przed

kamerą zachowywał się z dużą swobodą i naturalnością. Uwagę zwraca również pewien charakterystyczny tylko dla niego dystans, rodzaj żartobliwej aureoli, łagodzący nieco brutalność filmowych scen oraz duża kultura i wdzięk osobisty podbijający serca damskiej części widzów. Na pewno były to filmy robione specjalnie dla niego. W większości z nich wstała z reguły fabuła jest tylko pretekstem do zaprezentowania jego wszechstronnych umiejętności. Bruce jest z reguły bohaterem pozytywnym, walczy w słusznej sprawie, postawiony w sytuacji bez wyjścia, z przeciwnikami posiadającymi pozornie dużą przewagę fizyczną, bądź liczebną, często uzbrojonymi po zęby i stosującymi wredne podstępny. Zawsze zwycięża! Moralne przesłanie jego filmów, ze scenami gwałtu, przemocy i seksu, typowymi dla produkcji „made in Hongkong” jest w sumie dość proste, stąd wynika popularność tych obrazów i łatwa identyfikacja widzów z ich bohaterem. W wydaniu Bruce’a Superman naszych czasów jest bowiem zwyczajnym, sympatycznym młodym człowiekiem, którego jedyną przewagą jest doskonała znajomość kung-fu. Trzeba pamiętać, że grał przede wszystkim dla miejscowej, chińskiej widowni, która świetnie zna się na sztukach walki i której nie można nabrać na byle co. Stąd to, co prezentował Bruce i co rejestrowały kamery nie było udawaniem. Chiński aktorzy walczyli naprawdę. Każda walka była oczywiście zawsze starannie reżyserowana i wcześniej odpowiednio zaprogramowana przez choreografa, przeciwnicy ze względu na swoje bezpieczeństwo nie używali również całej swojej siły. Ambicją Bruce’a było wręcz uodwadnianie, że nie wspiera się trickami technicznymi. W tym celu opracował nawet system specjalnych długich ujęć, wyświetlanych często w zwolnionym tempie. Zupełnie wyjątkowo, tylko w szczególnie niebezpiecznych scenach korzystał z usług kaskaderów bądź akrobatów (np. w filmie „Wejście Smoka”).

W każdej roli filmowej pokazywał rozmaite elementy swojej sztuki, walczył różnymi metodami oraz obowiązkowo prezentował charakterystyczne ćwiczenia formalne, które najlepiej świadczą o klasie każdego mistrza kung-fu. W każdym filmie musiał również walczyć z godnym siebie przeciwnikiem, byli wśród nich najlepsi katececy świata m.in. Bob Wall, Peter Archer, Chuck Norris oraz cała plejada najlepszych mistrzów azjatyckich. Bob Wall powiedział później: „On zadaje ciosy seriami, cios za ciosem, nie pozwala nawet na chwilę zastanowienia. Moim zdaniem Bruce’a nie można pokonać”. A oto co na ten temat mówił sam Bruce: „Kung-fu nie jest zabawą. Jest wysoko wyspecjalizowaną sztuką, która uprawiana przez niedostatecznie wyćwiczonych i mało doświadczonych może być śmiertelnie niebezpieczna. Wymaga więcej niż fizycznej sprawności, chęci i talentu do walki, szybkości, refleksu i zwinności. Oprócz tych czysto zewnętrznych walorów adept kung-fu musi przede wszystkim starać się świadomie rozwijać dyscyplinę wewnętrzną, równowagę i opanowanie psychiczne konieczne do odparcia każdego ataku, przy jednoczesnym nienadużywaniu swoich umiejętności. Jeżeli nie jesteś przygotowany na to, aby znaczną część swojego życia poświęcić

studiowaniu kung-fu pod fachowym nadzorem mistrza - pamiętaj, że twoja niedostateczna wiedza może być niebezpieczna dla innych i dla ciebie samego”.

W 1973 roku Bruce miał 32 lata, był u szczytu sławy. Pracował dużo i ciężko jak chyba nigdy. Głównym aktorem, kaskaderem, scenarzystą i reżyserem w swoim kolejnym, jak miało się okazać ostatnim filmie pod znamiennym tytułem „Gra Śmierci”. Sławę podziwiany i bogaty prowadził poza tym życie dalekie od ideala pielęgnowanych w ascetycznych wschodnich klasztorach, chociaż nigdy nie nauczył się pić alkoholu ani palić. Żył bardzo intensywnie, zbyt szybko i mocno jak na jednego człowieka.

20 lipca zastał nagle w mieszkaniu swojej przyjaciółki, początkującej aktorki Betty Ting Pei. Przewieziony do szpitala zmarł jeszcze tej samej nocy, nie odzyskując przytomności. Pierwsza, oficjalnie podana wersja o przyczynie jego zgonu mówi o ataku serca.

Tak wyglądają fakty.

Legenda Bruce’a Lee jest nie tylko wynikiem ogromnej, autorytatywnej popularności i sympatii, jaką cieszył się on jako aktor i nie dościgniony mistrz sztuki walki, ale również bezwzględnej, wręcz cynicznej akcji reklamowej rozpetanej po jego zgonie przez ludzi, którzy w dyskutowaniu tej popularności zwierzyli świętym interes. Na temat przyczyn jego niespodziewanej śmierci i okoliczności, które przyczyniły się do niej, krążyły i krąży nadal najbardziej fantastyczne plotki. Twierdzone, na przykład, że Bruce został skrytykowany za zamordowanie przez wyślanika tajnej rady klasztorów, w zemście za publiczne ujawnienie tajemnic starochińskiej sztuki walki. Zabójcą miał użyć „ciosu opóźnionego” zadanego według legendarnych reguł „wibrującej dłoni”, którego efekt ujawnia się dopiero po pewnym czasie. Inna wersja podawała, że mistrz Yip Man, który zmarł w tym samym roku, tradycyjnie przekazał przed śmiercią swojemu najlepszemu uczniowi tajemnice sztuki, które nikomu nie wolno ujawnić i Bruce musiał zginać, aby nie mógł zdradzić jej w filmie. Wrogowie, którzy Bruce’owi, jak każdemu nieuczynkownemu człowiekowi nie brakowało, przebakiwali nawet o kłamstwie, jaka miał rzekomo rzucić na jego nauczycieli.

Oficjalne śledztwo i to pod wyrazną presją opinii publicznej, przeprowadzone zostało dopiero kilka miesięcy po śmierci Bruce’a. Niejako zaocznie, ponieważ okazało się, że brak oficjalnych wyników autopsji. Ostateczna wersja, ustalona na podstawie zeznań świadków, opinii autoritetów medycznych i farmaceutycznych nie była w stanie wyjaśnić jednoznacznie przyczynę jego zgonu; stwierdziła jedynie, że Bruce zmarł śmiercią naturalną w wyniku nieszcześliwego zbiegu okoliczności.

Mimo że od dnia gdy umarł minęło już 16 lat, jego sztuka nie przestaje fascynować kolejnych pokoleń młodych ludzi. Za życia był inspiracją i wzorem dla tysięcy swoich fanów oraz uczniów, po śmierci nie stał się tylko celuloidowym cieniem, ale ciągle żywa legenda, okryta tajemnicą własnego zgonu.

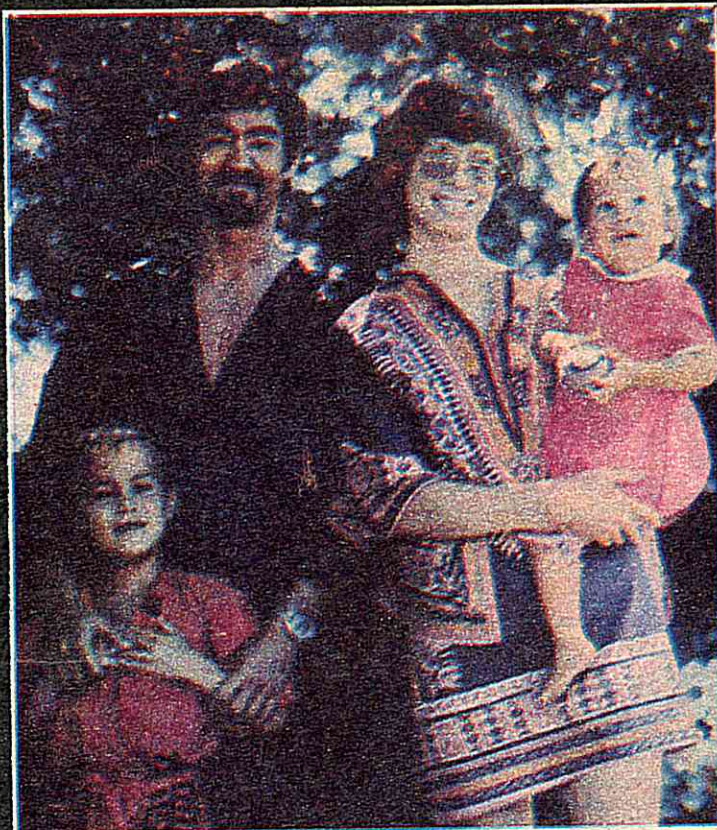
WISŁAWA ORLIŃSKA-BUTRYM

WISŁAWA
ORLIŃSKA-BUTRYM

Historia życia, sztuki i filmów Bruce'a Lee rozpoczęła się 48 lat temu. Kim był, zanim stał się legendą? Niewątpliwie jednym z najwybitniejszych współczesnych mistrzów starochińskiej sztuki kung-fu oraz aktorem – ekranowym idolem milionów wielbicieli na całym świecie. Ale nie tylko. Najpierw był cudownym dzieckiem. Trochę później przywódca młodzieżowego gangu i playboyem. A także fanatykiem walki, nauczycielem, filozofem, prorokiem, przyjacielem i wzorem do naśladowania. Miałby dzisiaj 48 lat i prawdopodobnie w dalszym ciągu znajdowałby się u szczytu swoich umiejętności i sławy, ponieważ kung-fu jest sztuką, którą uprawiać można z powodzeniem bardzo długo. Być może nie grałby już ról młodych chłopców... Żył tylko 32 lata, a mimo to miał fascynująco bogaty życiorys.

Urodził się 27 listopada 1940 roku w San Francisco jako czwarte dziecko chińskich imigrantów. Urodzony w Roku Smoka, pod jednym z najczęstszych znaków starochińskiego kalendarza, w kilka lat później otrzymał przydomek Mały Smok. „Lee” – nazwisko Bruce'a oznacza po chińsku własnie smoka. Rodzice jego byli artystami-spiewakami opery kantonskiej, ale w USA powodziło się im zdecydowanie kiepsko. Ojciec grywał w tandentych wodewilach, a kiedy nie mógł dostać żadnej pracy, co zdarzało się często, ciężar utrzymania licznej rodziny ponosiła matka. Po kilku latach, kiedy stracili już wszelką nadzieję na poprawę losu, państwo Lee zdecydowali się na wyjazd do Hongkongu. Trzeba przyznać, że nigdy nie żalowali tej decyzji, ojciec otrzymał bowiem zgodną z jego wykształceniem i aspiracjami, dobrze płatną pracę. Wkrótce rodzina przeprowadziła się do eleganckiej dzielnicy miasta, gdzie zamieszkała we własnym, wygodnym domu. Wczesne lata dzieciństwa i młodość Bruce'a i jego rodzeństwa były szczęśliwe i bez trosk. Uczyli się w dobrych, prywatnych szkołach. Kontakty zawodowe ojca sprawiły, że karierę artystyczną rozpoczął Bruce bardzo wcześnie. Kiedy miał sześć lat zagrał w swoim pierwszym filmie: „Narodziny ludzkości”. Kolejny – nakreślony dwa lata później to „Kid Cheung”. W wieku lat trzynastu zaczął uczyć się kung-fu u słynnego mistrza Yip Mana. Nie tylko wytrzymał twarde rygory treningowe, ale wkrótce stał się jego najlepszym uczniem.

Cwiczył w każdej wolnej chwili, godzinami doskonalił poszczególne elementy ataku i obrony, tysiące razy wykonując przed lustrem te same ruchy i skomplikowane ćwiczenia formalne tzw. kata. Jego niespożyta energia i ambicja powodowały, że zawsze i wszę-



Bruce Lee z rodziną. Od lewej: Brandon, Bruce, Linda i Shanon.

BRUCE LEE

dzie musiał być najlepszy. W tym właśnie czasie został wybrany szefem młodzieżowego gangu. W ulicznych bójkach z konkurencyjnymi bandami szukał praktycznego potwierdzenia swoich umiejętności. Wiele w tym wszystkim młodzieńczej fanfaronady i braku wyobraźni: jedna z walk, którą stoczył na dachu pięciopiętrowego domu z rywalem do roli przywódcy, o mało nie zakończyła się dla obu tragicznie. Bardzo lubił się bić. „Gdybym nie został gwiazdorem, z pewnością byłbym gang-

sterem” – powiedział wiele lat później w jednym z wywiadów.

W ekskluzywnym liceum, w którym się uczył, niedoszły gangster był dla swoich kolegów prawdziwym idolem. A kiedy zagrał główną rolę w melodramacie „Orphan Ah Sam” opartym na jego własnej biografii, stał się znany w całym Hongkongu. Film przyniósł mu pierwszy smak sławy. Odtąd wiele czasu spędzał nie tylko ćwicząc przed lustrem, ale także układając swoje misternie wybrylantowane, zgodnie z ówczesną modą, czarne

włosa i szpanując imponującymi mięśniami. Był szalenie dumny ze swojego ciała, jego zdrowia, siły, sprawności. Niewysoki, szczupły, jak większość Azjatów, szalenie wygimnastykowany, o wspaniałej koordynacji ruchu, a przy tym na swój sposób przystojny i pełen wdzięku, chciał się podobać i ponoć już wtedy miał ogromne powodzenie. Tak już miało pozostać do końca jego życia. Miara wszechstronności jego talentów stała się fakt, że w 1958 roku wybrany został królem tańca Hongkongu w konkurencji tańców latinoamerykańskich. I nagle, zaraz po ukończeniu szkoły, osiemnastoletni Bruce postanawia spróbować szczęścia w kraju swego urodzenia. Z jedną walizką i 100 dolarami w kieszeni oraz listem polecającym do przyjaciół ojca wraca do San Francisco. Wkrótce przenosi się do Seattle i rozpoczyna studia filozoficzne na uniwersytecie waszyngtońskim, doradczo pracując na swoje utrzymanie. Wtedy też zaczyna uczyć kung-fu, najpierw bezinteresownie przyjaciół, a potem również tych, którzy mogą mu za to płacić. Na uczelni poznaje studentkę medycyny, Amerykankę Linde Emery i wkrótce bierze z nią ślub, czym wprawia w prawdziwą rozpacz tysiące śledzących jego losy wielbicieli w Hongkongu. Rezygnuje ze studiów i otwiera prywatną szkołę „Bruce Lee's Kung-fu Institute”. Próbuje również szczęścia w filmie. Zagrał w dwóch: „Longstreet” i „Green Hornet”, ale bez większego powodzenia. Ameryka zupełnie nie doceniła go wtedy jako aktora. Za to w roli nauczyciela egzotycznej sztuki walki wiedzie mu się zdecydowanie lepiej. Jego szkoła jest sławna, ma wielu znanych, wpływowych i bogatych uczniów, m.in. aktorów, producentów filmowych i biznesmenów. Bruce Lee nie stroni od reklamy w iscie amerykańskim stylu, jest prekursorem i propagatorem wschodnich sztuk walki, a przede wszystkim szkoły swojego starego mistrza Yip Mana. To właśnie w tym czasie Ameryka wkracza w erę fascynacji Wschodem i jego skrzętnie dotychczas skrywanych tajemnic. Bruce jest pierwszym, który wprawia ją w zachwyt mówiąc publicznie: „Tak naprawdę, to mogę dać łupnia każdemu człowiekowi, który chodzi po tym świecie”.

Chociaż wypowiedź ta nie brzmiała skromnie, najwięksi znawcy kung-fu w owym czasie, zgodnie przyznawali, że Bruce jest naprawdę dobry. Styl Wing Tsun, który uprawiał, widowiskowy i skuteczny staje się wiodącym w kung-fu.

Bruce Lee opanował ten trudny styl do perfekcji, ale kiedy to osiągnął doszedł do wniosku, że jego reguły ograniczają formę ekspresji. Dlatego też, aby osiągnąć maksymalną swobodę, inicjatywę i skuteczność w walce uczył się u różnych mistrzów wielu od-

Dokonczenie na str. 23

sportowiec
budo

Wydanie specjalne magazynu ilustrowanego SPORTOWIEC,
00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24, skr. poczt. 255, tel. 21-62-08.

Redaktor naczelny: JACEK ŻEMANTOWSKI. Redaktor wydania: LECH UFEL. Sekretarz redakcji: JAN TRAWIŃSKI. Opracowanie graficzne: STANISŁAW SIWEK. Redakcja techniczna: MAŁGORZATA GROCHOWSKA, KRYSZYNA NOWAKOWSKA. Korekta: BIANKA ABRATOWSKA, EMILIA KURZELA. Rada merytoryczna: Janusz Pawluc, Waldemar Sikorski, Paweł Rafalski. Druk: Zakłady Włósnodrukowe, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Dyrektor: Andrzej Maciejewski. Wydawca: Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Dyrektor Zygmunt Konopka. Zam. 7597. Nakład 100 000 egz. A-14.